# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 51-52
Łódź, 24 - 31. XII.
(199-200)
1961 r.
Cena
zł 1.50

*Szopka i Świątki to ulubiony temat ludowego rzeźbiarza z Oraczewa k. Łęczycy Jana Kamińskiego*

*Matka Boska w rzeźbie Kamińskiego ma twarz zwykłej wiejskiej kobiety*

W numerze


- Konkurs filmowy str. 4
- o Marsjanach str. 8
- uczniowie piszą anonim str. 2
- opowieści białych kołnierzyków str. 10 i inne
- następny numer Odgłosów (nr. 201), a pierwszy w Nowym Roku będzie jeszcze ciekawszy


*Czytelnikom, Przyjaciołom pisma, Autorom i tym wszystkim, którzy czytając i nie czytając „Odgłosów" krytykują je, zdrowia, pomyślności*

z okazji świąt, zamknięcia starego roku i wydania jubileuszowego 200 numeru „Odgłosów". Jak widać, okazji do wzruszeń i różnego rodzaju spotkań niemało. Tym więcej że kalendarz w tym roku łaskawy. Najpierw trzy święta, w pięć dni potem dwa. A być może, że niektóre instytucje doliczą sobie do serii świątecznej odpracowane wcześniej dwie wigilijne soboty. W dziedzinie „odrabiania" zaległości jesteśmy prawie mistrzami. Również w dziedzinie świętowania. Kochamy się w takich okazjach. Mamy w tym względzie długą tradycję i ustaloną markę. Suto zastawione stoły, gałązki jedliny, życzenia, człowiek człowiekowi bratem. A przy tym toasty. Patriotyczne, społeczne, rodzinne, przyjacielskie. Pod śledzika, pod rybkę. Metodą niedźwiedzia, do trójcy, strychem, na rozgrzewkę, na smutno, na wesoło. Konceptu dodaje osławiona „polish vodka" w siedemdziesięciu gatunkach (od „A" — anyżówki i ajernika do „Z" — zakrapianej), która ma ustaloną międzynarodową markę jak dolar, rubel czy funt angielski. Polska tradycja wyróżnia tutaj trzy stopnie wtajemniczenia: picie pod żołądek, pod intelekt i pod absolut. Dopiero na tym ostatnim stopniu osiąga się pełnię „człowieczeństwa". Doświadczenia ostatniego roku wskazują, że ten trzeci stopień osiąga u nas znaczna liczba obywateli. Wprawdzie w okresie trzech kwartałów bieżącego roku skierowano do kolegiów karno administracyjnych o trzydzieści siedem tysięcy wniosków mniej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, ale w tym samym czasie sądy rozpatrzyły przeszło dwadzieścia siedem tysięcy spraw karnych, ponad trzy tysiące więcej niż w roku ubiegłym. A więc krzywa rośnie. Nic dziwnego, skoro Tuwim obliczył, że na trzydzieści milionów ludności posiadamy pięć milionów zawołanych pijaków.

Trzeba jednakże dokonać tutaj pewnej poprawki. Stara tradycja przekazuje: „wódeczko kochana, napoju poranny, ciebie piją panowie, mężatki i panny, skaut do skauta, złodziej do złodzieja i ja w ręce pana dobrodzieja". Przy narodowym stole Polaków wznosić będziemy różne toasty. I różni bohaterowie będą je wznosić. Skaut do skauta i złodziej do złodzieja. Oby złodziejskich toastów było coraz mniej. Wprawdzie organa MSW stwierdziły ostatnio pojawienie się na naszym rynku wielu towarów pochodzenia zagranicznego, zdobytych drogą nielegalną (złotych zegarków, dolarów, rubli), ale jest nadzieja, że szefowie gangów przemytniczych będą mieli coraz trudniejsze życie. I nic tu nie pomogą toasty w „syngieltona" czy nawet gromadne. Życie wielkich aferzystów i wielkich złodziei, jak również małych złodziejaszków musi w końcu ograniczyć się do czterech ścian celi. Na pohybel złodziejom, awanturnikom, bałaganiarzom, wszelkiego rodzaju piratom!

My, łodzianie, mamy się z czego cieszyć. Owszem, przy tym stole rodzinnym ponarzekamy trochę, ale przecież klimat jest coraz lepszy. Ubiegły rok zaznaczył się wieloma poważnymi osiągnięciami w mieście i województwie. Wznosimy toast za włókniarzy i włókniarki. Pomyślności dla załogi Zakładu Przemysłu Odzieżowego im. Fornalskiej w Łodzi, która jedna z pierwszych w kraju wykonała plan produkcji. Do... do... do... w ręce budowniczych nowych osiedli i dzielnic. Oby nam się drzwi zamykały, kaloryfery grzały, a podłogi nie dostawały brzuszka. Zdrowie tych wszystkich, którzy przyczyniają się do wzrostu produkcji przemysłowej, rolnej. Za nowe miasta w Polsce, za nowe huty, stocznie. Za ludzi pracy, nauki, pióra. Za młodzież, która się uczy, pracuje i szuka nowych dróg. Za naszą ojczyznę, która żegluje coraz pomyślniej do nowego jutra. I która wbrew powszechnemu, utartemu mniemaniu nie jest taka biedna. Nie tylko z powodu odkrywania coraz to nowych bogactw naturalnych (ostatnia rewelacja: nafta! oraz węgiel brunatny koło naszego Bełchatowa). Ale dlatego, ponieważ ludzie coraz solidniej podchodzą do swojej pracy. Znajduje to swoje odbicie w przekroczeniu planów produkcyjnych w wielu gałęziach gospodarki narodowej (energia elektryczna, węgiel, stal, aluminium, włókna sztuczne, przemysł maszynowy). Przeciętna zarobków powoli, ale stale się podnosi, przeciętna zbiorów rolnych również (zboża do 17,9 q z ha). Poprawiają się warunki mieszkaniowe, plan na 62 rok przewiduje oddanie w naszym mieście przeszło 16 tysięcy izb (wzrost o 16,7% do 61 r.), 62 obiektów socjalno usługowych, 17 nowych szkół. Nasze miasto odgrywa coraz większą rolę w gospodarce narodowej (w rb. ogólna wartość produkcji eksportowej Łodzi osiąga ok. 3 miliardów złotych, tj. 8,5% narodowej produkcji).

Charakter świątecznego toastu, siłą rzeczy ogólnikowy i optymistyczny nie pozwala na wykrywanie braków i niedociągnięć. Ale: niekoniecznie chłopi muszą wyciągać ze snopa wigilijnego kłosy i z liczby przystych lub nieparzystych wysnuwać wnioski o przyszłym urodzaju. Niekoniecznie dyrektorzy zakładów muszą obmywać się w tym dniu wodą, do której wrzucono grosze lub złotówki, aby zlikwidować u siebie marnotrawstwo materiałów i czasu. I niekoniecznie wszyscy musimy gryźć orzechy, aby mieć zdrowe zęby do pokonania wszystkich trudności w nadchodzącym roku. Jak również niekoniecznie musimy pić. Kupmy sobie raczej lodówkę i trochę książek. Niemniej zgodnie z tradycją — na pomyślność wszystkich zdrowych planów — adresuję do Waćpana!

TADEUSZ PAPIER

MIROSŁAW AZEMBSKI

# ŁÓDŹ *czyli* Heidelberg w Manchesterze

Redaktor, który zwrócił się do mnie z propozycją opisania łódzkiego śródmieścia, tyleż przyczynił mi zaszczytu, co kłopotów. Bo zechciejcie zrozumieć: obserwator, a w ich liczbie także i reporter, penetrując taką lub inną strefę miasta, lubi mieć do czynienia ze zjawiskami i ludźmi o wyraźnych rysach charakterystycznych; dopiero na tle tego obyczajowego monolitu z przyjemnością będzie odkrywał odstępstwa od reguły, typy wyjątkowe, wydarzenia odbiegające od normy. Śródmieście Łodzi tymczasem... Ba, gdybyż to był na przykład Kraków! Kraków stary, zadumany nad filiżanką kawy w „Europejskiej", lub Kraków młody, brodaty, półwściekły, piwniczny... Gdybyż to było śródmieście Gdyni, w dzień błyszczące nylonem i sztuczną biżuterią z marynarskiego „importu", a w nocy parujące alkoholem i atmosferą mniej lub bardziej lewych interesów... Gdyby to był Kalisz, ubogi ale chędogi, skromny w rozmiarach,

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

*Kamiński wyobrażał sobie zamkowego diabła Borutę pod postacią sowy na kozich nóżkach*

# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

## Prof. dr. KAZIMIERĄ ZAWISTOWICZ-ADAMSKĄ

**kier. Katedry Etnografii U.Ł.**

### o reminiscencjach demologicznych wierzeń
### o polskim fenomenie ludowym
### o perspektywach łódzkiego „skansenu"

*— Czy nie weźmie mi Pani Profesor za złe, że zamiast mówić o nauce rozpoczniemy od potocznych wierzeń wigilijnych?*

— Pani zapomina, że moją specjalnością jest etnografia czyli właśnie nauka o kulturze ludowej.

*— Będzie to więc najklasyczniejszy wywiad ze stałej serii „Odgłosów"?*

— Jak najbardziej. Miło mi, że jest on tak bardzo na czasie i że informacje, jakimi mogę służyć, odpowiadają okolicznościowym zainteresowaniom czytelników.

*— Może więc na początek coś o obrządkach wigilijnych naszego łódzkiego regionu. Stąd się bierze ich związek ze świętami Bożego Narodzenia, z tym właśnie okresem roku?*

— Wynika on z przełomowego charakteru zimowego z przesilenia dnia z nocą, jakie ma miejsce właśnie w noc wigilijną. Stąd i wierzenia, gusła, zwyczaje wywodzące się jeszcze z czasów pogańskich, grecko-rzymskich...

*— Jakie to są obrządki?*

— Jest ich mnóstwo. Większość jednak wynika z dawnej wiary w zjawiska nadprzyrodzone i duchy. Powszechnie np. obawiano się, a i po dziś dzień wieść ta żyje w okolicach Będkowa i Zachorza, że w noc wigilijną straszy duch złego miernika czyli geometry, który źle wymierzył chłopskie grunty i za karę pełni pokutę nocą, że na Pasterce ksiądz może rozpoznać czarownicę lub kobietę nieżyczliwą wsi. W Komorowie znów wierzą, że w tę noc w lesie zakwitają paprocie i budzą się pszczoły. A już typowa dla całego kraju jest fama, że w wigilię Bożego Narodzenia bydło mówi ludzkim głosem i że ten kto to usłyszy, umrze w ciągu roku.

Poza tym niektóre wigilijne wierzenia mają wyraźny charakter święta zadusznego, co wskazuje na ich dawne pogańskie pochodzenie. Np. zwyczaj pozostawiania na stole wigilijnym jednego wolnego nakrycia dla zmarłego w ostatnim roku, lub resztek wigilijnych na świątecznym obrusie itp.

*— O ile sobie przypominam, ślady wigilijnych wierzeń demologicznych znajdujemy w literaturze polskiej?*

— Tak, w piśmiennictwie literackim i w ludowym. W „Pieśni o Ziemi naszej" Wincenty Pol tak o tym mówi:

*„...A trzy krzesła polskim strojem*
*Koło stołu stoją próżne*
*I z opłatkiem każdy swoim*
*Idzie przy nim składać dłużne,*
*I pokłada na talerzu*
*Anielskiego chleba kruchy*
*Bo w tych krzesłach siedzą duchy..."*

W wigilijnych obrządkach nie brak też i zabiegów gospodarskich, jak rzucanie do pułapu grochu na urodzaj, obejmowaniu drzew owocowych z rymowanym zaklęciem ludowym: *„Kochane drzewecko daj mi jabłecko, daj m grusecke, bez cały rok trosecke"*, i innych. Można z nimi dziś jeszcze spotkać się w okolicach Gałkówka. Rozpowszechniony też jest, zwłaszcza po wsiach zwyczaj karmienia bydła resztkami wieczerzy z opłatkiem co ma zapobiegać chorobom i innym dolegliwościom zwierząt.

Wszystkie te obrzędy miały realne cele. Zabieg magiczny wykonywano po to, żeby uzyskać pożądany efekt najczęściej w postaci określonej korzyści nadprzyrodzonej lub materialnej. Obecnie robi się to samo ale już bez tej mistycznej interpretacji, ale raczej mocą tradycyjnego nawyku, dla zwyczaju.

*— Czym należy tłumaczyć, że wszystkie te wierzenia bardziej są rozpowszechnione i utrwalone na wsi niż w mieście w pokoleniu ludzi starszych niż u młodzieży?*

— Wieś jest społecznością bardziej zamkniętą o niesłychanym poczuciu więzi lokalnej. Stąd elementy wierzeń wyrażają się w formach współżycia towarzyskiego z sąsiadami (zwyczaj chodzenia z Gwiazdą, z „szczodrakami" w Brzezińskiem, zwyczaj pomocy pogorzelcom, topielcom, sierotom, wdowom itp.) Również i słabszą więź z miastem, z cywilizacją wielkiego świata sprzyjała przywiązaniu do tradycji i obyczajów.

*— O ile dobrze zrozumiałam to klasyczne grupy ludnościowe, ustabilizowane mają większe poczucie tradycjonalnej więzi towarzyskiej i obyczajowej niż grupy dopiero się fomujące. Czy nie należałoby z tego wyciągnąć wniosków dla klasy robotniczej Łodzi, która jest społecznością w dużej mierze niedawno osiadłą w mieście, a więc w nowych warunkach jeszcze nieustabilizowaną wyrwaną z dawnych form współżycia?*

— Bardzo słuszna uwaga. Bez wątpienia ta część łódzkiej klasy robotniczej, która jeszcze w pierwszym pokoleniu wywodzi się z chłopów, ma mniejsze poczucie więzi solidarnościowej niż klasa stara, wiejska czy też robotnicza — miejska z pochodzenia i tradycji. A więc w stosunku do niej należy zastosować inną taktykę, oraz szeroką pomoc w postaci kontaktów towarzyskich, skrócenia i ułatwienia drogi do kultury i społeczności miejskiej.

Problematyka tego rodzaju interesuje się łódzki ośrodek etnograficzny tj. Katedra Etnografii i Zakład Etnografii UŁ, jak również Muzeum Etnograficzne w Łodzi. Poza pracami typowo naukowymi chcemy zorganizować dla Łodzi Park Etnograficzny na wzór szwedzkiego „skansenu" czyli coś w rodzaju Muzeum Etnograficznego pod gołym niebem. W parku tym dalibyśmy ilustracje wszystkich regionów województwa łódzkiego. Można byłoby więc obejrzeć całe zagrody wiejskie, warsztaty ludowe w trakcie pracy, wycinkarki łowickie przy robocie, garncarza itp. „Skansen" zbliżyłby kulturę ludową do ludności miejskiej, a jednocześnie ugruntowałby autorytet tej kultury, podkreślił jej rolę w rozwoju społeczności. Warto przypomnieć, że sztuka ludowa, folklor polski jest prawdziwym fenomenem na skalę światową. Nigdzie sztuka ludowa nie rozwijała się i nie rozwija tak bujnie, jak u nas. Duża w tym jest zasługa i państwa które nie szczędzi na ten cel środków. Myślę, że te wszystkie względy powinny dla starań łódzkiego ośrodka etnograficznego zjednać więcej uwagi i pomocy ze strony władz miasta.

*— Cel jak najbardziej godny poparcia, oby jak najszybciej doczekał się pełnej realizacji.*

— Dziękuję. Ja również nie wątpię, że w końcu plany łódzkiego ośrodka etnograficznego zostaną zrealizowane. Ale a propos... Czy pani wie, że w tym co Pani przed chwilą powiedziała tkwi jakby pointa dzisiejszego wywiadu?

— ???

— Tak, gdyż w każdym życzeniu zawarta jest dawna magia słowa, wiara, że słowa ujęte w formę życzenia, muszą się spełnić.

*— Właśnie. A więc spełnienia wszystkich zamierzeń i pragnień. Również i z okazji świąt.*

Rozm. **K. WYRZYKOWSKA**

**DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW"**
**W ŁODZI, UL. PIOTRKOWSKA 96**

Uprzejmie proszę o zamieszczenie sprostowania w związku z użyciem przez Ob. Red. Wyrzykowską niewłaściwego tytułu w opublikowanej przez nią rozmowie ze mną w numerze „Odgłosów" z dnia 10 grudnia 1961 r.

We władzach Akademii Medycznej w Łodzi pełnię funkcje prodziekana dla spraw dydaktyki a nie prorektora, jak to mylnie zostało wydrukowane.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# Uczniowie piszą anonim

### 1. DZIWNE SPRAWY CZY DZIWNE METODY?

Artykuł Ewy Ostrowskiej, który — jak wiadomo — ukazał się drukiem w 48 numerze „Odgłosów" stanowił coś w rodzaju „bomby". Mówią niektórzy nauczyciele: „tego nie należało publikować", „to psuje naszą pracę"! Wystarczy jednak uważnie wczytać się w drugą część artykułu E. Ostrowskiej, wystarczy pomyśleć trochę nad publikacją Henryka Dintera z 49 numeru „Odgłosów", aby zrozumieć, że problem, może niedostatecznie ukazany, może zamazany przez skandalizujące przykłady, zawiera się zupełnie w czym innym. Chodzi nie o jedną dziwną sprawę, chodzi o dziwne metody.

Na to antagoniści: „jakie metody?", „jeden przykład o metodach jeszcze nie stanowi!" Oczywiście. Tylko, że niestety takich i temu podobnych przykładów rozwiązywania problemów wychowawczych można podać więcej. W Liceum Ogólnokształcącym w Łęczycy czterej uczniowe weszli do gabinetu dyrektora, otworzyli szafę, wyjęli klasówki i dokonali poprawek. Sprawa wydała się. Uczniowie zostali ukarani. Przeniesiono ich karnie do innych szkół województwa. W szkole zapanował znów spokój, zło zostało w zarodku wykorzenione. Nieprawda! Po prostu szkoła w Łęczycy nie jest zdolna do podjęcia poważniejszego wysiłku wychowawczego. Nie jest zdolna dlatego, że trawi ją od wewnątrz groźna choroba. Grono nauczycielskie w Łęczycy zarażone jest bakcylem rozróbek. Do rozróbek wciągnięto uczniów a nawet rodziców. W tej sytuacji prościej i bezpieczniej było odepchnąć od siebie problem wychowawczy, poupychać winnych gdzie się dało. Liceum Ogólnokształcące w Łęczycy przestało prowadzić — pozytywną oczywiście — pracę wychowawczą. Zastąpiono ją systemem środków formalnego oddziaływania.

Słynna była swego czasu pajęczańska afera fałszerstwa odpowiedzi maturalnych. W czasie balu maturalnego okazało się, że nie wszystkie odpowiedzi były li tylko wynikiem samodzielnej pracy uczniów. Okazało się, że kilku uczniów potrafiło w sposób iście szatański dobrać się do pytań maturalnych, odczytać je, a potem położyć na miejsce w „nienaruszonym" stanie. W każdym razie komisja maturalna ustaliła w sposób autorytatywny, że koperty nie zostały naruszone. Po ujawnieniu sprawa oparła się o prokuraturę, która, po wstępnym śledztwie, ustaliła niewielką szkodliwość społeczną i zwróciła sprawę szkole. Kuratorium zaleciło wstrzymać świadectwa maturalne, rozpoczęto ponowne śledztwo, mijały dni, „maturzyści bez matury" zdali egzaminy na różne uczelnie, rozpoczęli naukę, a rezultatu śledztwa i wyniku darmo czekać. Wtedy do akcji przystąpili rodzice. Rozpoczęła się walka ze szkołą, w której wyszło na jaw to i owo o pracy szkoły. Sprawa ulegnie teraz ponownemu rozpatrzeniu i to już pod innym kątem.

Obydwa przykłady wskazują na konkretne źródło formalizmu i powierzchowności w traktowaniu spraw wychowawczych w szkole. Tym źródłem jest wewnętrzne schorzenie rady pedagogicznej, jej niezdolność do podejmowania istoty problemu wychowawczego. W Polsce jednak nie wszystkie szkoły są zarażone podobnymi bakcylami, nie wszędzie toczą się rozróbki, nie wszędzie słabość wychowawczego oddziaływania ma swoje przyczyny w niesnaskach nauczycielskich. W Polsce istnieją szkoły, gdzie grono nauczycielskie pracuje zgodnie, panuje spokój, a mimo to problematyka pedagogiczna nie jest podejmowana we właściwy sposób. Istnieje zatem inna sfera przyczyn, które rodzą niewłaściwe, nieskuteczne, sformalizowane metody pracy pedagogicznej.

### 2. W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA

Zadałem swego czasu kilku nauczycielom jedno pytanie: jaki problem wychowawczy sprawia im najwięcej kłopotu? Proszę wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy usłyszałem powtórzoną kilkakrotnie jedną i tę samą odpowiedź: „niechęć do noszenia szkolnych czapek, beretów i tarcz". Odpowiedź tę usłyszałem zarówno z ust starego pedagoga, jak i młodego. Nie jestem przeciwnikiem dyscypliny, nie namawiam nikogo do anarchii, ale trudno mi się zgodzić, że we współczesnej szkole akurat ten problem jest najistotniejszy.

Do dużej szkoły zawodowej przyjeżdża prelegent. Tematem jego odczytu dla młodzieży są trudne sprawy światopoglądowe. Prelegent nie jest najlepiej przygotowany. Popełnia szereg nietaktów, ostro formułuje swoje poglądy. Prelekcja wywołuje wśród uczniów duże poruszenie, powstaje pewne napięcie, zaognienie atmosfery w szkole. Co w tej sytuacji robią nauczyciele? Postanawiają w przyszłości tego typu prelekcji nie organizować. Postanawiają dokonać uniku. I w tej właśnie szkole pada odpowiedź o największej trudności wychowawczej — braku entuzjazmu dla szkolnych beretów i tarcz. W tej szkole stawia się przed wejściem dyżurnych, którzy sprawdzają i meldują wychowawcom, kto tego dnia przyszedł do szkoły bez czapki, beretu i tarczy.

Uczniowie wbrew temu co się o nich sądzi interesują się polityką. Czytają gazety. Uczniowie idą ze swoimi wątpliwościami do nauczycieli i działaczy politycznych. Na pięciu zapytanych jeden podjął się spróbować dać odpowiedź. Akurat nie nauczyciel, na uczyciele nie potrafili dojrzeć w tych poszukiwaniach młodzieży problemu wychowawczego.

Uczniowie palą papierosy. Wiemy o tym wszyscy. Po cichu mówimy sobie: no i co? Ja paliłem w szkole papierosy. Ty paliłeś, on, ona palili. Nie ma o co kruszyć kopii. Tak było, jest, i będzie i tak być musi. A regulamin wyraźnie mówi co innego. Regulamin sobie, uczniowie sobie. Uczennice z opisywanej przez p. Ostrowską szkoły nie przypadkiem zapytały: „dlaczego nie wolno im palić papierosów"? Uczennice potrafiły, może nieświadomie, dojrzeć tam problem, gdzie nie widzą go, albo udają, że nie widzą, pedagogowie. Bo skoro wszyscy wiedzą, że młodzież pali, skoro wiedzą i nic nie robią, nie podejmują rozwiązania problemu, to dają tym świadectwo albo zakłamania, albo bezsilności. Taki stan rzeczy rodzi dalsze konsekwencje: wolno naruszać regulamin w tym punkcie, wolno go naruszać w innym. W ogóle cały regulamin to jedna wielka fikcja. No i skutki wiadome.

Jest zatem zjawisko widzenia spraw wychowawczych w kategoriach porządkowych, traktowania problematyki wychowawczej w sposób powierzchowny, uproszczony. Zjawisko odsuwania istotnej problematyki wychowawczej i ograniczania się jedynie do problemów łatwych, formalnych, dyscyplinarnych.

### 3. IDEALIZM I BEZKONFLIKTOWOŚĆ

Młodzież nie jest ani grzeczna, ani bierna, ani nijaka. Młodzież sprawia pedagogowi szereg kłopotów. Pedagog reaguje: młodzież jest zła, zepsuta, zdemoralizowana, zanarchizowana. Dawniej była młodzież, za naszych czasów! Te nasze czasy nie koniecznie musiały być dwadzieścia lat temu, mogły być z powodzeniem tylko pięć lat temu, już wtedy młodzież na pewno była inna. Dla pedagoga życie stanęło w którymś tam momencie w miejscu. Sądzi on, że dla ucznia „życie zaczyna się po skończeniu szkoły". Nie bierze w rachubę istnienia środków masowej komunikacji, nie uwzględnia tempa i jakości zachodzących procesów społecznych, dla niego nie istnieje olbrzymie wymieszanie środowisk, nie liczą

Dalszy ciąg na str. 5

MARIA KORNATOWSKA

# KOSMOSIK GWIAZD

Pragniemy Was powiadomić o naszej wiekopomnej decyzji. Z okazji tegorocznych świąt postanowiliśmy definitywnie zerwać ze złymi tradycjami. Kto ma przewagę liczebną w naszym grodzie? — wiadomo — kobiety! Kto ma przewagę liczebną z zespole „Mieszanki filmowej"? — oczywiście kobiety! A tymczasem łamy nasze nieustannie okupują wyłącznie BB, Liz Taylor, Lolobrigidy itd. Komu to służy? Nam, kobietom? Każda z nas woli niechybnie Gregory Pecka od najpiękniejszej i najbardziej rozpieszczonej Brigitte Bardot. Czas zatem skończyć z samowolną męską dyktaturą, zmuszając nas do nieustannego oglądania mniej lub bardziej udanych zagranicznych kociaków. Od dziś na łamach „Mieszanki" zajmiemy się nareszcie tym co interesuje nas, kobiety, tzn. mężczyznami, oczywiście mężczyznami ekranu czyli gwiazdami filmowymi płci męskiej. Mały kosmosik tych gwiazd składamy, drogie Czytelniczki, pod Wasze świąteczne choinki. A panom też się przyda. Może nareszcie zrozumieją na czym polega sztuka podobania się kobietom. Bo wcale nie jest tak łatwa jak im się to wydaje.

Gusty kobiet, podobnie zresztą jak gusty mężczyzn, zmieniają się nieustannie. Oba wiam sie że „boski" Ramon Novarro i Rudolf Valentino, pożeracze serc niewieścich sprzed lat, na współczesnych kobietach wywarliby wrażenie raczej komiczne. Ten pretensjonalny typ mężczyzny-wampa, dawno już trąci myszką i w czasach rocka i Jaguarów nie ma żadnych szans. W latach 30-tych i 40-tych wytworzył się klasyczny dziś już styl amanta filmowego, dojrzałego, zrównoważonego, silnego fizycznie i duchowo, bardzo męskiego, opanowanego i rozsądnego, a nadto obdarzonego odrobiną ironii i sceptyzmu. Długonodzy kowboje J. Stewart, i H. Fonda, i Glenn Ford, nie odparci uwodziciele — Gary Cooper i Clark Gable, czarujący gentelman i Gregory Peck i Gary Grant — od lat cieszyli się opinią zdobywców serc. Niemal każdy z nich reprezentował nieco inny styl i nieco inny typ „męskości". Lecz w każdym wypadku męskości absolutnie stuprocentowej i dojrzałej. Należeli do pokolenia mężczyzn stanowczych i zdecydowanych, rządzących światem i naginających go do siebie. Wszystko było dla nich w gruncie rzeczy proste i łatwe. Wszystkie sprawy można było rozwiązać mając prawe serce, mocne pięści i colta za pasem.

W latach 50-tych na ekrany wkroczyła nowa generacja „nieprzystosowanych" i zakompleksionych. Schludnie odziani musieli ustąpić. Na początku był James Dean. Przeciwstawił on różnym rodzajom tradycyjnych amantów filmowych postać reprezentatywną dla pewnego odłamu młodego pokolenia. To już nie była gra, to było życie. Dlatego też swymi trzema filmami Dean wywarł ogromny wpływ na współczesną sobie młodzież, wpływ powiedzmy szczerze, raczej zewnętrzny niż wewnętrzny. Dean zainaugurował sezon rozhisteryzowanych smarkaczy, zbuntowanych i zgorzkniałych, przedwcześnie dojrzałych i zarazem niepowtarzalnie młodzieńczych. Zainaugurował sezon młodzieżowych gwiazdorów, rewolucjonizując podstawowe atrybuty szanującego się amanta filmowego. Dziewczęta szalały za nim, mimo że nie był ani piękny, ani dobrze ubrany.

Obecnie pojawił się nowy Jimmy A. D. 1961, 23-letni Warren Beatty, łączący jak mówią wdzięk Deana z urodą Marlona Brando. Beatty ma już na swoim koncie dwa filmy. Grał z Vivien Leigh i Nathalie Wood („Na zawsze") której miłość, jak się zdaje, oddziedziczył również po wielkim Deanie. Nathalie nie omieszkała już oznajmić dziennikarzom że spotkanie z Warrenem stanowi w jej życiu moment równie przełomowy jak jej miłość z Jimmy. Młoda i świeżo rozwiedziona aktorka nie wątpi, iż tym razem wszystko skończy się happy-endem. Warrena czeka olśniewająca kariera. Stał się najświeższym szałem Ameryki. „Life" poświęcił mu 8 stron pod znamiennym tytułem „największe nowe nazwisko amerykańskiego filmu". Wróżą mu Oscara. Wielki Kazan, który go „odkrył", mówi o nim w samych superlatywach. „Beatty szokuje i olśniewa. Zaskakuje, wstrząsa i wzrusza. To nowy aerolit na niebie Hollywood, aerolit, który spustoszy świat".

Warren Beatty zanim zainteresował się sztuką i zaczął uczęszczać na kursy dramatyczne w Nowym Yorku, był świetnym piłkarzem, rozchwytywanym przez różne drużyny uniwersyteckie. Matka Warrena prowadziła ongiś szkołę teatralną, a siostra — słynna Shirley Macdaine należy do najpopularniejszych gwiazd Hollywood. Studiując w N. Yorku, Warren ciężko musiał pracować na życie, m. in. przy budowie słynnego tunelu Lincolna. Na razie jest oszołomiony i zażenowany swoimi sukcesami. Nie nabrał jeszcze nawyków prawdziwej gwiazdy. Nie pije, nie pali, uwielbia natomiast samochody i nie omieszkał już oczywiście nabyć najnowszego modelu Jaguara „Kocha wojnę, przestrzenie i podróże!" Nowy aerolit przyćmił nieco w oczach amerykańskich Filipinek blask zdetronizowanego już króla rock an rolla — Elvisa Presleya. Mimo to wpadły one w istną rozpacz, dowiedziawszy się z wiarogodnych źródeł, że ich ulubieniec ma zostać straszliwie oszpecony w sekwencji walki bokserskiej w swoim nowym filmie „Kid Galladhad". Zasypywany tragicznymi w tonie listami wielbicieli boskiego Elvisa, strapiony producent waha się poważnie czy można narazić na sztuczny wprawdzie, ale bądź co bądź szwank nieskazitelną „fizys" Presleya. Tymczasem pewna pomysłowa firma zdążyła już wypuścić na rynek rękawice bokserskie, a la Elvis Presley.

Do miana najpopularniejszego gwiazdora zachodniej Europy pretendować może śmiało książe twista, król paryskich music-hallów — Johny Hallyday. Hallyday tańczy i śpiewa. Nie rozstaje się z gitarą i Jaguarem. Niedawno rozbił superluksusowego „Triumpha". Do wiadomości naszych panów: Hallyday lansuje błękitne koszule, bardzo wąskie i bez paska spodnie z szarej flaneli oraz zamszowe bluzy. Obecnie Hallyday kręci swój pierwszy film „Paryżanki" — reżyserii Marca Allegreta, a ponadto para się również krytyką filmową. Sława Hallydaya zaniepokoiła nawet największego, zdaniem wścibskich dziennikarzy, „podrywacza" serc niewieścich, popularnego piosenkarza Sachę Distela. Distel uważa, że właśnie prasa jest w głównej mierze autorem rozpowszechnionej o nim opinii jako o „niewysokim młodzieńcu, który trawi swoje życie na piciu alkoholu i uwodzeniu dziewcząt".

W obliczu groźnego konkurenta Distel postanowił jak widać uderzyć w nową strunę. Natomiast J. P. Belmondo wycofuje się wyraźnie z konkurencji, przechodząc z obozu niedowarzonych młodzieńców i nieprzystosowanych bohaterów „Do utraty tchu" w dorosły świat autentycznych aktorów. Belmondo jest chyba najlepszą ilustracją ewolucji, jakiej uległo pojęcie amanta filmowego. Zdecydowanie brzydki, źle ubrany, nieokrzesany, (ale bynajmniej nie w stylu słodki brutal) cyniczny. Kilkanaście lat temu, żaden dbający o swój interes producent nawet by na niego nie spojrzał. A teraz, Belmondo jest rozrywany i uwodzi z powodzeniem wszystkie piękności począwszy od Jean Seberg, a skończywszy na Jeanne Moreau. W życiu prywatnym jest czułym mężem i kochającym ojcem dwojga dzieci.

Zakochanym i czułym mężem jest również inny i bardziej bezpośredni spadkobierca deanowskiej tradycji, Horst Buchholtz („Wyznania hochsztaplera Felixa Krulla"). Horst jest obecnie na drodze do wielkiej kariery. Udało mu się zawojować Amerykę i wystąpić obok Brynnera w filmie „Siedmiu wspaniałych" — amerykańskiej wersji „Siedmiu samurajów". Na razie, po niegroźnym na szczęście, wypadku samochodowym, Buchholtz przebywa w swej uroczej posiadłości koło Berlina, mając u boku piękną żonę Myriam Bru i ulubionego psa. Horst poznał Myriam w Rzymie, gdzie oboje grali w „Zmartwychwstaniu". Oczywiście szalona miłość i wkrótce potem ślub — przykra niespodzianka dla wszystkich niefortunnych rywali ślicznej Myriam. Młoda mężatka, mimo, że zaczęła właśnie robić międzynarodową furorę, wyrzekła się kariery gwiazdy i postanowiła poświęcić się mężowi, który jej zdaniem potrzebuje silnego oparcia — gdyż jest młodzieńczo porywczy i niepohamowany. Horst oprócz żony uwielbia Agatę Christie i swego psa.

*Horst Buchholtz*

Psy są w ogóle modne ostatnimi czasy w świecie gwiazd. Żywym tego dowodem jest Alain Delon, który grając zresztą w filmie pod znamiennym tytułem „Pies" nie rozstaje się z jego głównym bohaterem pięknym Rexem. „Kocham dzieci i zwierzęta", — stanowczo oznajmił Alain dziennikarzom, nie wspominając ani słowem o swej odwiecznej już narzeczonej Romy Schneider („Dziewczęta w mundurkach"). Wszyscy z samymi zainteresowanymi na czele, stracili już chyba nadzieję, aby od tak dawna zapowiadane małżeństwo doszło kiedykolwiek do skutku. Delon mimo młodego wieku nie należy do pokolenia „nieprzystosowanych". Swym chłopięcym i nieco romantycznym wdziękiem przypomina Gerarda Philipe ... „Diabła wcielonego". Warren Beatty w sposób nader złośliwy, określił go jako skrzyżowanie Tyrone Powera z Kim Nowak.

Znamiennym dla ostatnich lat jest fakt, iż prymat na polu „amanctwa" filmowego przeszedł z rąk Anglosasów w ręce Włochów. „Uwaga! Uwaga! Włoscy uwodziciele w Paryżu" — ostrzega francuskie czasopismo „Cinemonde" zapowiadające przybycie do Paryża trzech słynnych włoskiego filmu: G. Ferzetti, O. Gassmana, i Marcello Mastroianni. W istocie Włosi „poderwali" już Annette Stroyberg (Gassman), A. Girardo' (Salvatori) nie licząc pokaźnej liczby Amerykanek, Angielek i przedstawicielek innych nacji (m. in. Belinde Lee, Shelley Winters, A. Ekberg, A. Gardner, Kim Nowak i inn.).

Czołowym gwiazdorem włoskiego filmu jest dziś niewątpliwie Marcello Mastroianni — zarazem największy sfinks filmowego światka. „Ja i uwodziciel! Cóż za bzdura mówi Marcello. — Nie mam do tego ani ochoty, ani... odpowiednich uzdolnień. Jestem takim, ot sobie, zwykłym człowiekiem, ojcem rodziny". Zaś o swoim zawodzie aktora, budzącym tyle pragnień i zawiści, mówi z właściwą sobie dozą autoironii: „No cóż, jestem normalnym człowiekiem, który co dzień rano udaje się do pracy, tylko zamiast siedzieć przy maszynie do pisania lub liczenia tkwię przed przed maszyną do robienia filmów". Mimo to Mastroianni należy do najwytworniejszych przedstawicieli łacińskiego „szarmu". Ma komfortową willę na Via Appia, nieodzownego Jaguara i nigdy dwa razy nie nosi tego samego krawata. Uchodzi za dobrego technicznie, ale chłodnego aktora i wyrachowanego człowieka. Obraca się w sferach elity intelektualnej i artystycznej Włoch i należy do najbardziej wykształconych i kulturalnych aktorów swego czasu.

Mastroianni reprezentuje odmienny od swych poprzedników typ amanta filmowego. Kreuje postać zwykłego przeciętnego człowieka z wszystkimi jego wadami i przymiotami, człowieka dojrzałego, nieco zgorzkniałego i wątpiącego, ale w gruncie rzeczy solidnego i uczciwego. Zamiast romantycznych i gwałtownych porywów właściwych generacji deanowskiej, ofiarowuje normalną miłość, opartą na zaufaniu, przyjaźni i poczuciu bezpieczeństwa. Mastroianni stanowi więc idealny typ męża i towarzysza życia, będąc swego rodzaju uwodzicielem mimo woli. Zupełnym jego przeciwieństwem był w czasach swej górnej i chmurnej młodości — Jean Gabin — największa dziś sława i filar francuskiego filmu. Gabin, zwany „Don Juanem przedmieścia", karierę swą zawdzięczał powierzchowności paryskiego chłopaka i specyficznemu stylowi gry opartemu przede wszystkim na spojrzeniu i charakterystycznym sposobie mówienia.

Gabin, który liczy sobie obecnie 57 lat i gra role adwokatów, rekinów finansjery lub znakomitych detektywów, debiutował nie gdzie indziej tylko w Folies Bergeres. Jego prawdziwa kariera zaczęła się w momencie spotkania z reżyserem Julien Duvivierem. Wtedy to narodził się Gabin — człowiek marginesu społecznego, romantyczny bohater, zbuntowany przeciw mieszczańskim regułom gry, naznaczony piętnem wielkiej, niemożliwej miłości. Takim pamiętamy go z głośnego filmu „Ludzie za mgłą". Styl postaci Gabina wywodzi się z poetyckiej aury prozy Mac Orlana i Francis Carco, wierszy Beaudelaire i Verlaina. Gabin ożenił się bardzo młodo z aktoreczką Gaby Basset, ale w życiu jego istniało owo wielkie, romantyczne, godne gabinowskich kreacji, szaleństwo — Michale Morgan — heroina „Ludzi za mgłą". Zresztą nawet wamp nad wampami — Marlena Dietrich — nie oparła się temu paryskiemu chłopcu, nie mówiąc już o dziesiątkach pomniejszych wampów i kociaków.

Dziś Gabin grywa ojców i dziadków, i pasjonuje się swoją fermą, która słynie z wzorowej hodowli. Sic transit gloria mundi. Tak kończą się dzieje nawet najbardziej romantycznych kochanków. Dlatego nie martwcie się, drogie Czytelniczki, iż los nie zesłał Wam w darze Buchholtza lub Gregory Pecka.

*Gabriele Ferzetti*

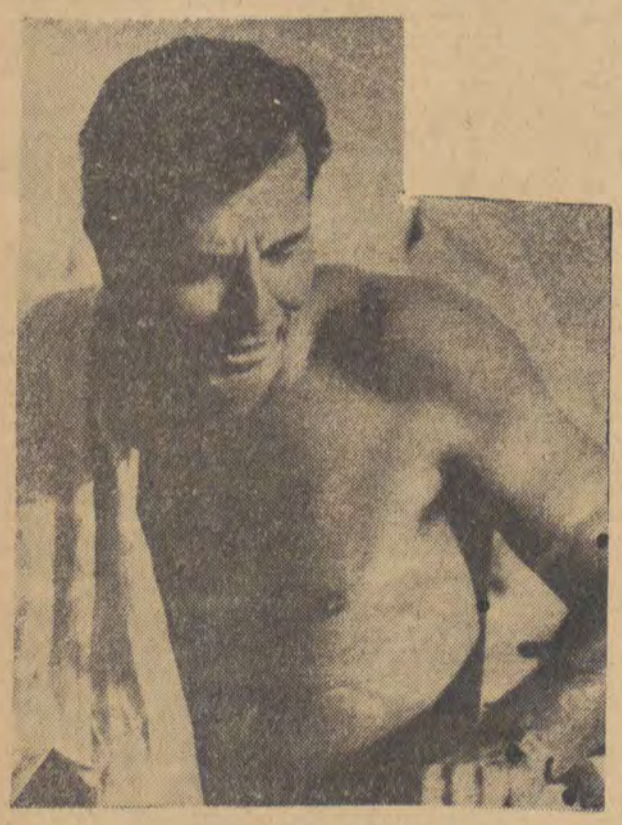

# Konkurs filmowy

Miejski i Wojewódzki Zarząd Kin oraz Ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów wraz z redakcją „Odgłosów" ogłaszają świąteczny konkurs — ankietę. Na odpowiedź, która będzie mogła wziąć udział w losowaniu wartościowych i atrakcyjnych nagród powinny się złożyć:

1. Prawidłowe rozwiązanie zagadki polegającej na skojarzeniu filmowych par, które występowały w polskich i zagranicznych filmach na przykład: Brigitte Bardot i Jacques Charier, Teresa Iżewska i Tadeusz Janczar.

2. Wyczerpujące odpowiedzi na pytania:

a) który film polski i zagraniczny był Pani (Pana) zdaniem najlepszym w 1961 roku? (Należy podać dlaczego).

b) Czy repertuar filmowy w 1961 roku zadowolił Panią (Pana) i dlaczego? (czytelników wiejskich prosimy o uwagi na temat repertuaru kin wiejskich).

c) Co Pani (Pan) sądzi o pracy i działalności kin w Łodzi i województwie łódzkim (uwzględnić kina wiejskie) i co należałoby zmienić w roku 1962?

Prawidłowe rozwiązanie zagadki oraz odpowiedzi na pytania ankiety prosimy przesłać na adres redakcji tygodnika „Odgłosy", Łódź, ul. Piotrkowska 96 w terminie do dnia 15 stycznia 1962 roku. Miejski Zarząd Kin, Wojewódzki Zarząd Kin i Centrala Wynajmu Filmów, ufundowały wiele cennych, atrakcyjnych nagród. Redakcja „Odgłosów" serdecznie zaprasza swych Czytelników z terenu Łodzi i województwa do udziału w świątecznym konkursie-ankiecie.

EWA SULIBORSKA

# „ZADUSZKI"

Film Tadeusza Konwickiego mówi o miłości i o wojnie. Bardziej o miłości, lub raczej miłościach, mniej o wojnie. O przeszłości i teraźniejszości. Mówi też o związkach. W pierwszym rzędzie o związkach z czasem, który minął, o upartych do niego powrotach. O jego wpływach na czas który jest, i na ten, co będzie. Film Konwickiego potraktować można jako próbę przeniesienia na ekran intymnych zwierzeń i wspomnień, przeniesienia ich tak, jak owe zwierzenia i wspomnienia mogłyby być napisane. Ten literacki charakter „Zaduszek" wpływa, rzecz oczywista, nie tylko na kształt fabularny filmu, wpływa też na środki formalne, którymi posługuje się Konwicki. „Literackość" filmu implikująca także świadome zerwanie z pewnymi konwencjami i regułami w obowiązującej poprawności, maksymalną swobodę w wyborze środków przedstawiania — utrudnia wprawdzie ocenę tego filmu, ale jej przecież nie uniemożliwia. Wypada bowiem zastanowić się jak wykorzystuje i czemu służy w utworze Konwickiego owa założona z góry „literackość".

Do małego, prowincjonalnego miasteczka przyjeżdża dwoje młodych ludzi. Taki jest punkt wyjścia filmu Konwickiego. Mają tu, zdala od zwykłych spraw, przeżyć ze sobą trzy dni świąt. Atmosfera miasteczka i to wszystko co noszą w sobie, a co stanowi ich przeszłość — utrudnia im porozumienie. Konwicki pokazuje jaką owa przeszłość była, albo raczej pokazuje trzy epizody, które w jakiś decydujący sposób zaważyły na życiu jego bohaterów. Jednak historia młodych ludzi rozgrywa się według wszystkich zasad dramaturgii, w tradycyjnej, realistycznej konwencji. Także akcesoria i rekwizyty, które jej towarzyszą — są konwencjonalnie banalne. Wspomnienia, pełniące funkcje przerywników, wprowadzane są z zachowaniem chronologii i egzystują w filmie na zasadzie oddzielnych nowelek. Mają wyraźnie zaznaczone kontury i pointę; mimo pewnej skrótowości i fragmentaryczności zbudowane są także według zasad tradycyjnej narracji. Wykorzystywane w filmie (niezbyt często zresztą) obrazy-metafory i symbolika nie wychodzą poza znane ramy.

Sprawą najważniejszą dla Konwickiego wydaje się być ów wpływ czasu przeszłego. Waga nadana wspomnieniom przy rozpatrywaniu „literackości" filmu jest chyba bardzo istotna. Między ludźmi możliwe są porozumienia, tylko poprzez odrzucenie spraw przeszłych — wydaje się mówić autor. A może to porozumienie jest w ogóle niemożliwe?

Ale przeszłość, o której ciążeniu na ludzi mówi twórca „Zaduszek" — w filmie przedstawiona jest zupełnie niesugestywnie. Pozbawione wzruszenia, te rozmyślania bohaterów o minionym czasie są zupełnie bezosobowe. Powracające obrazki z przeszłości pozostają statyczne, ludzie i zdarzenia jednowymiarowe, przedstawione dosłownie, pozbawione jakichkolwiek szerszych znaczeń. Konwicki podejmuje problem winy, wyboru itp. nawarstwia sprawy. Zapewne te retrospekcje z lat partyzantki wojennej i z okresu tuż po wojnie miały jeszcze raz podjąć trudne sprawy tamtych czasów. Zapewne chodziło Konwickiemu o pokazanie prawd jego pokolenia i wyjaśnienie pewnych moralnych i psychicznych konsekwencji dojrzewania w trudnym czasie okupacji. Nie sądzę by sprawy te zostały w „Zaduszkach" pokazane szczęśliwie. Wydaje mi się, że rozrachunek z przeszłością, to poszukiwanie i powrót do straconego czasu, nie powiódł się, ponieważ wspomnieniom Konwickiego zabrakło atmosfery, ponieważ zostały przedstawione zbyt dosłownie.

Klimatu brak także tej partii filmu, która traktuje o teraźniejszości. Mimo, że posługuje się w niej autor wszystkimi wypróbowanymi sposobami (deszcz, brutne miasteczko, orkiestra w czarnych garniturach nad jeziorem) na podbudowanie nastroju. A bohaterów swego filmu wyposaża we wszystkie cechy zjaw, karząc im błądzić po świecie zbyt realnym. Szkoda, że Konwicki nie skorzystał w pełni z dobrodziejstw gatunku, że „literackość" filmu leży tylko w sferze treści, że nie skorzystał z szansy ani przełamania tradycyjnej konwencji, ani zerwania z realnym czasem. Szkoda, że tak ambitny pomysł nie został w pełni uwieńczony sukcesem. Przedstawione malowidło jest szare i bez wyrazu.

EWA OSTROWSKA

# CO NOWEGO W KRÓTKIM METRAŻU?

Zakres tematyczny filmów krótkometrażowych wyprodukowanych w ciągu ostatniego kwartału przez WFO w Łodzi przeznaczonych do szerokiego kolportażu, — jest zróżnicowany i przedstawia się interesująco niezależnie od mniejszych czy większych walorów artystycznych.

Najsłabszym wydaje się film pt. „Dobrej nocy" w reżyserii Wojciecha Fiwka, specjalizującego się w gatunku filmów dydaktycznych, przeznaczonych na odbiór młodszej widowni. Zamierzeniem pointy miało tu być humanitarne przypomnienie. — Noc nie jest dla wszystkich ludzi czasem odpoczynku. Pomyślcie o tych, którzy pracują, gdy wy śpicie. Lecz kamera nie zsynchronizowana z zapewnieniami komentarza, że tych trudzących się w nocy pracą jest dużo, fotografuje (zresztą ładnie — zdjęcia Z. Adamski) puste ulice wielkiego miasta nocą, a obrazy kapslowania butelek, wypieku chleba, pojedyńczych milicjantów i stróżów ulicznych — nie zapewniają adekwatności komentarzowi. Pointa spala na panewce.

Drugi film Fiwka — „Ostatnia wycieczka" jest sfabularyzowaną historyjką o tragicznych skutkach zabaw z niewypałami. Ze względu na jej aktualność postulat dydaktyczny zostaje spełniony. Niemniej, wybór tematu zobowiązywał reżysera do poszukania takiej formy, która nie byłaby powtórzeniem okolicznościowych morałów — a właśnie do tego sprowadza się w sumie efekt filmu. Od strony realizatorskiej narracja wydarzeń zachodzi w tempie odwrotnie proporcjonalnym do jej następstwa: od połowy filmu finał staje się wiadomy i widz czeka jedynie na zakończenie.

Spopularyzowany wykład z zakresu dziejów i rozwoju podstawowych form architektury spełnia z powodzeniem „ABC architektury" Bohdana Mościckiego. Pomimo, że podstawą relacji stanowią materiały ikonograficzne, całość przedstawia się zajmująco i przystosowana jest do poziomu intelektualnego przeciętnego widza.

Nazwisko Jarosława Brzozowskiego nie powinno wymagać rekomendacji; stąd przykre rozczarowanie: jego „Chopin w kraju" nie wnosi żadnego novum ani pod względem wartości poznawczych ani artystycznych. Zbyt obszerna ikonografia powoduje martwość obrazu zamkniętego w chronologiczną ciągłość. Schematyczne ujęcia sentymentalnego pejzażu Mazowsza i dworku w Żelazowej Woli, to przecież po wielokroć eksploatowane atrybuty „młodości" Chopina. Komentarz Waldorffa utrzymany został w tej samej konwencjonalnej sztampowości. W konsekwencji Chopin pozostaje nieożywionym portretem. Złośliwie można scharakteryzować, że „Chopina w kraju" najlepiej ogląda się zamknąwszy oczy — utwory Chopina gra Witold Małcużyński.

Natomiast „Mali rekruci" Jadwigi Żukowskiej (operator Bonawentura Szredell) oraz „Za winy niepopełnione" K. Żukowskiego (operator) są ze wszech miar doskonale prowadzonymi filmami. „Mali rekruci" relacjonują pierwsze samodzielne kroki siedmiolatków w nowej społeczności klasy. Jedna lekcja nauki pisania słowa „Lala", a tyle różnorodnych postaw i reakcji psychicznych, ile dzieci w klasie, co dobremu pedagogowi pozwala na zorientowanie się w cechach charakteru dziecka oraz ponadto o trybie wychowania, jakiemu podlegało ono w domu. Film zrealizowany niejako na zasadzie socjologicznej obserwacji szczególnie przyda się rodzicom i wychowawcom.

„Za winy niepopełnione" Żukowskiego przenosi na antypodę — w krąg dzieci kalekich, upośledzonych umysłowo i fizycznie, małych debili i powykrzywianych potworków, którym nieuleczalne często schorzenia odebrały prawo do normalnego współżycia z ludźmi, wyrzuciły poza nawias społeczeństwa; które nigdy nie miały swojego dzieciństwa i najprawdopodobniej nie będą miały dorosłości. Dzieci alkoholików, obciążone dziedzicznymi schorzeniami układu nerwowego oskarżają swoich rodziców. Dokument Żukowskiego powinien zostać udostępniony do obejrzenia jak najszerszemu społeczeństwu.

MIESZANKA FILMOWA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

# Młodzi i uśmiechnięci

Nie znam Łodzi z lat okupacji, wyobrażam sobie jednak jak ciężkie musiało tu być życie, zwłaszcza zaś życie ludzi, którzy zdecydowali się na walkę o wolną Polskę. Praca niepodległościowa w mieście do którego napłynęły hordy hitlerowskie, gdzie mieszkało kilkadziesiąt tysięcy Niemców. Czyż można było z całą pewnością wiedzieć — kto pozostał wierny ojczyźnie, kto zaś doniesie okupantom o każdym przejawie oporu?

Konspiracja wymaga od bojownika nie tylko samego patriotyzmu, ale i takich cech charakteru jak odwaga, zdecydowanie, wytrwałość, odporność psychiczna i fizyczna. Wymaga także zaplecza. Gdzieś przecież trzeba zainstalować „meliny", skrzynki, składy amunicji, drukarnię, radiostację, punkty przerzutowe, trzeba znaleźć swoich ludzi w urzędach, fabrykach, na stacjach kolejowych. Poparcie społeczeństwa, ludzka ofiarność i patriotyzm w dużej mierze rozstrzygają o powodzeniu walki, którą prowadzi bojownik.

Z pewnością nie jedyną, ale najbardziej zwartą i patriotyczną grupę stanowili w Łodzi robotnicy.

Historia okupacji w Łodzi nie została jeszcze napisana. To bardzo źle, czas bowiem nagli. Dokumentów nie tak wiele, pamięć ludzka jest głównym źródłem poznania, ale źródło powoli wysycha, zaciera się we wspomnieniach jeden szczegół po drugim, umierają naoczni świadkowie. Cokolwiek jednak powiedzą historycy, potwierdzą z pewnością fakt, że właśnie robotnicy pierwsi rozpoczęli walkę z okupantem — słynne akcje sabotażowe, często nigdzie dotąd nie zapisane. Bywa jeszcze, że siądzie sobie przy kieliszku stara gwardia i wspomina początkowe akcje, pojedyńcze, samorodne, niezorganizowane. Bodaj w 1940 roku, u Kroninga, dziś Koczaskiego, niszczyli dawni kapepowcy maszyny i surowce — Faust, Kaczmarczyk, Majer i jeszcze inni.

Nazwiska kapepowców będą się w tych wspomnieniach powtarzać coraz częściej. Oto tzw. „Grupa Retkińska", nasi starzy znajomi — Loga Sowiński, Moczar, Gąbski, Koczaski, Kuliński... W ciągu roku 1941 wysunęli się na czoło, odegrają decydującą rolę w powiązaniu ruchu oporu w całość. Te same nazwiska i jeszcze inne znajdziemy na czele „Frontu walki za naszą i waszą wolność". Front nie był czczym słowem, ma-

*Oddział GL walczący w lesie — Wł. Siewierski*

newrem taktycznym, front się gał na Pomorze, do Włocławka i Płocka. Powstaje zwarta organizacja, choć jeszcze nie partia.

Mało o tym wiemy, trochę z winy historyków. Kto żyje — rzadko kiedy zwraca ich uwagę. Co innego kiedy umrze — wtedy niejako automatycznie zyskuje prawo zameldowania się w historii, jeżeli tylko swoimi czynami tego prawa dowiódł. Historycy lubią swój przedmiot odnosić wyłącznie do przeszłości.

Zaglądam w dokumenty. Na początku 1942 roku, w lutym, ujrzał światło dzienne pierwszy egzemplarz konspiracyjnego pisma — „Front walki za naszą i waszą wolność". W marcu wyprawia się do Warszawy Czesław Szymański i przywozi odezwę programową PPR. Odezwa wędruje pomiędzy robotników łódzkich, organizacja uznaje kierownictwo KC PPR i Polska Partia Robotnicza w Łodzi staje się faktem. Loga Sowiński stanął na czele Komitetu Obwodowego, I sekretarzem zostaje Czesław Szymański, Mieczysław Moczar dowodzi Gwardią Ludową.

Takie są fakty sprzed dwudziestu lat, ułożone w chronologicznym porządku wyglądają prosto i zwyczajnie, tylko je w podręcznik wpisać i polecić młodzieży. Niech wkuwa. Jeśli jednak brać pod uwagę przeżycia towarzyszące człowiekowi w jego działaniu, fakty nabiorą innego znaczenia.

Któryś z naszych pisarzy powiedział, że jednym z głównych i najbardziej pasjonujących tematów współczesności jest dramat polskiego komunisty. Dramat nie oznacza tu bynajmniej smutnych i beznadziejnych losów, lecz losy pełne napięć, bolesnych konfliktów, a nawet sprzeczności, oznacza ów twardy klimat, który najlepiej sprawdza wartość człowieka i siłę jego ideałów.

Chodzi nie tylko o okupację, chociaż jej dramatyczność jest doprawdy niezwykła. Maszyna drukarska, lokal, papier, farba, kolporterzy — wszystko to trzeba było mieć, aby do rąk polskiego robotnika dochodził regularnie — „Głos Łodzi", „Chłopskie Jutro", „Biuletyn Radiowy", czy „Trybuna Ludu". Znowu same fakty. Ale kto szedł przez miasto okupowane z plikiem „gazetek" pod pachą, ten bez trudu przypomni sobie napięcie, niejasne przeczucie śmierci, lub niejasne przekonanie o szczęśliwej gwieździe.

Jest w naszym kraju, bo ja wiem ilu, może milion ludzi, którzy dobrze wiedzą, z jak wielkim ryzykiem związany był sabotaż, najczęściej uprawiany przez robotników. W fabryce „Promotor A. G." zanieczyszczano karburatory, oddawano do użytku wadliwie zbudowane motory. Rozdział zakończony szubienicą. Zawisł na niej w czerwcu 1942 r. Józef Floriański, robotnik łódzki i czterech jego towarzyszy. Feliks Berski i jego ludzie z oddziału zbrojeniowego w fabryce Steinerta — wyprodukowali 8 tys. zamków niezdatnych do użycia, u Buhlego Błaszczyk spalił olbrzymią stertę konopi, Wosiewicz i jego ludzie od Scheiblera zniszczyli około 240 tys. metrów tkanin, w zakładach „Zellgarn A. G." podpalono modelarnię, ktoś unieruchomił pompy, ktoś spuszczał do kanału bezcenną wiskozę, płonęły sterty zboża na Widzewie, w Nowosolnej i Srebrnej.

5 maja 1943 rusza w pole pierwszy oddział Gwardii Ludowej. Niedoświadczony i młody żołnierz stacza pierwszą bitwę w lasach psarskich, koło Głowna i bitwę przegrywa. Ginie Czesław Szymański, resztki oddziału przebijają się do Warszawy.

Oczywiście, można powiedzieć, że ta działalność PPR przypominała w pewnej mierze akcje innych organizacji. To prawda.

Ale prawdą jest również, że różniła się daleko bardziej. Uczciwy historyk studiujący programy polityczne polskich ugrupowań podziemnych — przyzna PPR z pewnością pierwszeństwo, ona biła się za ojczyznę konkretną, bez mgiełek i niedomówień, za ojczyznę socjalistyczną, którą właśnie dziś budujemy.

W kwietniu 1943, tak mówią dokumenty nietknięte jeszcze ręką historyka, następują masowe aresztowania, prawie połowa łódzkich peperowców wpada w ręce gestapo. Tortury i uporczywe milczenie. Maria Wedman odebrała sobie życie, Bronisława Znojka bito przez 120 dni, ale on milczał. Oto przypisek, sporządzony ręką gestapowca na papierach łódzkiego komunisty:

„W dotychczasowych przesłuchaniach nie wydaje działaczy PPR. Mimo konfrontacji uporczywie kłamie. Uważam za wskazane użycie zaostrzonych środków przesłuchania".

Jeżeli to przetłumaczyć z hitlerowskiego na polski, dowiadujemy się, że chodzi o męczeńską śmierć. Ale i tego rodzaju sytuacje zdarzały się często w innych ugrupowaniach podziemnych.

Przyszły historyk znajdzie jednak w działalności łódzkich komunistów również coś szczególnego. Nie przypadkowo ich pierwsza organizacja nazywała się „Frontem walki za naszą i waszą wolność". Grupa łódzkich peperowców znalazła się w obozie koncentracyjnym Loibl-Pas, na terenie Jugosławii. Rzetelski, Znojek, Kłosiński i inni stworzyli polską kompanię partyzancką, która wraz z komunistami Serbii, Chorwacji, Słowenii, Czarnogóry, walczyła o wyzwolenie ludów Jugosławii.

Wspomniany przez mnie pisarz mówił o dramacie komunisty polskiego, ale nie miał na myśli wyłącznie okupacji. Polska Partia Robotnicza nie powstała z powietrza. Przed dwudziestu laty byli już polscy komuniści, byli już i czterdzieści lat temu. Nie cackał się z nimi los. Bywalcy więzień, obozów koncentracyjnych, odrywani dziesiątki razy od swoich najbliższych przeszli nie tylko wszystkie fazy walki z reakcją polityczną i wyzyskiem. Tej walki nie doświadczyła żadna inna partia polityczna, przynajmniej w stopniu tak silnym. A przecież nie można wymazać z kalendarza lat 1936—38, tego czasu ciężkich doświadczeń, wielkiej prowokacji, związanej z systemem kultu jednostki. Trudno wyobrazić sobie większy konflikt ideowo-moralny, większe rozdarcie wewnętrzne i większy dramat człowieka. Tym bardziej, że rehabilitacja w wielu, bardzo wielu wypadkach, nie oznacza, niestety, zmartwychwstania.

Ale dramat nie skończył się smutno. Pękały nici, komuniści wiązali je na nowo, zrastały się szybko gruchotane kości. Przed dwudziestu laty już zdziesiątkowani i nadal dziesiątkowani, stanęli do podwójnej walki: z hitlerowskim okupantem i o przemienioną, sprawiedliwą Polskę. Stanęli nieliczni wtedy i gorzko doświadczeni. Przecież jednak widzimy ich dziś na czele całego narodu. Są jak zawsze młodzi i uśmiechnięci.

---

Dalszy ciąg ze str. 2

# Uczniowie piszą anonim

się zmieniające się w różnych grupach społecznych normy postępowania. Swoje oddziaływanie adresuje do młodzieży takiej, jaką sobie wyobraża. Nie stara się działać na młodzież taką jaką ona rzeczywiście jest. Jego program pedagogiczny jest idealistyczny, nierealny. W jego programie wychowawczym główne miejsce zajmuje płaskie i bezskuteczne moralizatorstwo. Nie pyta on nigdy: dlaczego? Nie szuka przyczyn, nie charakteryzuje zjawisk, nie poszukuje ich społecznych źródeł. W jego stosunku do świata nie ma miejsca na myślenie. Trudno powiedzieć nawet, że jego świat jest bezkonfliktowy. Tam istnieje konflikt — pomiędzy obrazem tego świata, a rzeczywistością, nigdy wewnątrz tego świata. Nic też dziwnego, że taki pedagog nigdy nie będzie podejmował istotnych problemów wychowawczych i nie będzie starał się próbować ich rozwiązywać. On będzie zawsze miał pretensje — przede wszystkim pretensje.

Obok niego istnieje inny typ pedagoga. Ten dostrzega i złożoność zjawisk i trudności w ich rozwiązywaniu. Dostrzega wszelkie komplikacje i potrafi wskazać ich społeczne źródła. Jest jednak wobec tego wszystkiego bezradny. Uważa, że szkoła nie jest w stanie temu podołać, że szkoła nie potrafi do końca rozwiązać stojących przed nią problemów. Wychodzi więc z założenia, że szkoła nie powinna zatem angażować się w rozwiązywanie tego typu spraw, że nie powinna ich podejmować, a co więcej, powinna stwarzać warunki izolacji, powinna separować od istotnych problemów, od życia. Gotów jest zamknąć dziewczęta w osobnej szkole, gdzie będą oglądały życie przez szybkę, zamknie chłopców w innej szkole, a wszystkich razem pozamyka w internatach i tak im wypełni czas, że zapomną o świecie. Zapomni o tym, że jego podopieczni, kiedy tylko wyjdą na swobodę, to dopiero pokażą światu swoje oblicze.

Te dwie postawy nie rozwiązują i nie wypełniają galerii typów nauczycielskich, galerii postaw pedagogicznych. Istnieją obok nich i przeciw nim często inni pedagodzy. Jednak zwolennicy tych postaw bardzo często mają wpływ na formowanie programu wychowawczego szkoły. I wtedy powstaje albo program adresowany do młodzieży jakiej nie ma na świecie, albo powstaje program bezkonfliktowy, program ograniczający się do spraw powierzchownych, formalnych, porządkowo-dyscyplinarny. I wtedy powstaje zjawisko rozdwojenia pracy szkoły — nauczyciele sobie, uczniowie sobie.

### 4. DZIAŁANIE W PRÓŻNI ALBO KRYZYS ZAUFANIA

Spotkali się niedawno uczniowie różnych szkół średnich, aby podyskutować o formach pracy światopoglądowej i politycznej prowadzonej przez szkolną organizację ZMS. W dyskusji padały niejednokrotnie uwagi, że lepiej, swobodniej i pełniej pracuje się im, kiedy na sali nie siedzi nauczyciel. Zjawisko to potwierdziło wielu nauczycieli. Dlaczego? Przecież uczeń zna nauczyciela, przecież występuje przed nim publicznie, kiedy odpowiada z zadanej lekcji. Tak, ale wtedy on mówi to, czego się nauczył. Na zebraniu, w dyskusji chce mówić to, co myśli. Przy nauczycielu musi mówić poprawnie, tzn. nie tyle stylistycznie, ile merytorycznie — a on chce mieć prawo do błądzenia, chce dyskutować i polemizować. Z nauczycielem tego mu nie wolno. Skąd się bierz to zjawisko? Właśnie z działania rozmijającego się z przedmiotem wychowania, właśnie z działania w próżni. Z postawy idealizującej, omijającej konflikty, afirmującej poprawność i grzeczność. Rodzi się więc kryzys zaufania. Przyczyny tego zjawiska mogą być różne. Jedną z nich opisała Ewa Ostrowska. Inną będzie apodyktyczność nauczyciela. Jeszcze inną brak taktu pedagogicznego, brak doświadczenia, spłycanie i pomijanie tych spraw, które interesują ucznia i na które nie znajduje on w szkole odpowiedzi.

Do szkoły przyszedł anonim. Listonosz przyniósł go na kilka godzin przed rozpoczęciem rady pedagogicznej. Uczniowie szkoły spisali wszystkie swoje zastrzeżenia pod adresem nauczycieli, ich postaw życiowych, metod nauczania i wychowania. Nie ustrzegli się oczywiście przejaskrawień i złośliwości. W szkole tej był mądry dyrektor. Przeczytał uważnie anonim i spełnił zawartą w nim prośbę: odczytał go głośno wszystkim nauczycielom — członkom rady pedagogicznej. Potem powiedział: nie będziemy robili z tego problemu, pomyślimy jedynie nad tym, czy i ile nasi uczniowie mają racji. Teraz geograf do maksimum wykorzystuje pomoce naukowe, chemik robi doświadczenia, a nie tylko o nich mówi, inni nauczyciele też spełniają postulaty młodzieży. Tak młodzież pomogła nauczycielom spojrzeć krytycznie na ich pracę.

### 5. WYCHOWANIE I ŻYCIE

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że nie mogę w jednym artykule powiedzieć o wszystkim, co wiąże się z wychowaniem. Dlatego ograniczam się do spraw wybranych, moim zdaniem istotnych. Jestem jednocześnie świadom, że jednej rzeczy mi nie wolno pominąć — mianowicie — wpływu środowiska na sprawy wychowania młodzieży.

Przedstawione powyżej metody i techniki pedagogiczne takich właśnie przyczyn nie biorą pod uwagę. Łatwo jest potępić szkołę. Istotnie szkoła unika trudności, odpycha od siebie trudne sprawy. Trzeba o tym szkole stale przypominać, ale trzeba sobie jednocześnie zdawać sprawę z kolosalnych trudności szkoły. Trzeba krytykując metody wychowawcze pokazywać przede wszystkim to, że zamazują one istotne źródła konfliktów, że szkoła nie bierze ich pod uwagę, że nie tylko działa w próżni, ale z próżni czerpie swoje metody.

Jest w Łodzi szkoła, w której pracy niczem w soczewce skupiają się wszystkie problemy wychowawcze. W tej szkole nauczyciele nie mówią o czapkach i tarczach. W tej szkole nauczyciele mówią o pijaństwie i demoralizacji. W tej szkole uczniowie potrafią przychodzić na lekcje pijani, palić w klasie papierosy, a zarabiają przynajmniej tyle, często więcej, co i nauczyciele. Ta szkoła kształci kelnerów i kucharzy. Jej uczniowie mają od 14 do 16 lat. Przez trzy dni chodzą do szkoły przez trzy dni pracują w restauracji, w kawiarni. Zdarza się, że uczennice — przypominam od 14 do 15 lat — nie wracają po trzy dni do domu. Co robią? Matce mówią, że mają nocne dyżury w restauracji. I matki, o dziwo, są zadowolone. Bo one oddały swoje dzieci do szkoły i teraz niech ona się martwi. Szkoła oczywiście martwi się, ale co ona ma w wielu wypadkach robić? Zamknąć swoje podwoje? Oczywiście nie. Szkoła ta podejmuje trudne sprawy. W beznadziejnych prosi o pomoc milicję, ale nie straszy milicją, stara się tylko skutecznie odciąć ucznia od grona, które stanowi przyczynę jego demoralizacji.

Jest też inna szkoła w Łodzi, gdzie stosuje się podobne metody, gdzie szuka się społecznych, środowiskowych przyczyn trudności, gdzie analizuje się każdy trudniejszy przypadek osobno, gdzie prosi się i zakłada, że powodzenie w wychowaniu można osiągnąć tylko pod warunkiem współdziałania z domem. W tej szkole nie usunięto od dwu i pół roku ani jednego ucznia, w tej szkole rozwiązano szereg trudnych spraw, w których winę ponosili również nauczyciele — nie bano się przyznania do tego.

To wszystko razem wskazuje, że w szkole naszej panuje nie tylko księżycowa, abstrakcyjna pedagogika, ale, że w szkole naszej są również bardzo liczne i udane próby pokonywania trudności. Miejmy nadzieję, że tych prób, zakończonych powodzeniem, będzie coraz więcej. Miejmy nadzieję, ale jednocześnie nie ustawajmy w pokazywaniu tego wszystkiego, co w szkole złe i z czym trzeba w praktyce pedagogicznej skończyć. Taki jest sens wszystkich publikacji dotyczących szkoły. I dlatego nie mam do „Dziwnej sprawy" pretensji o skandalizowanie i o pominięcie tych czy innych aspektów. Wydaje się, że dobrze stało się, iż sprawa ta ujrzała światło dzienne i dobrze stało się, że dyskusja po wypowiedzi H. Dintera poszła w kierunku metod, a nie ponownego rozgrzebywania jednej choćby i dziwnej sprawy. Kto jest innego zdania, proszę bardzo. Redakcja ogłosiła dyskusję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

*Przed „Grandką"*

# ŁÓDŹ *czyli* Heidelberg w Manchesterze

Dalszy ciąg ze str. 1

ale w każdym calu przesycony dumą ze swoich tradycji. W jednym, w drugim i dziesiątym wypadku wiadomo, z kim się ma do czynienia, dusza raduje się rozpoznając procesy społeczne, grubą malowane krechą.

Śródmieście Łodzi — mowa o ludziach — nie jest niczym określonym. Jest denerwujące. Płynne i amebowate. Nie ma w nim żadnych wyjątków, ponieważ nie ma i reguł. Środowiska poplątane i rozproszone zarazem. Socjologowie dobrej woli, którzy chcieliby jakoś usystematyzować swój stosunek do łódzkiego śródmieścia, powiadają: jest to siedziba inteligencji twórczej. Wacław Piotrowski doradza półżartem następujący eksperyment: niechaj nocą wylegną przed swoje domostwa wszyscy intelektualiści i przedstawiciele wolnych zawodów i niechaj skierują w niebo latarki jednakowego koloru; lotnik znajdujący się wtedy nad Łodzią stwierdziłby z całą pewnością, że wszyscy prawie mieszkają w śródmieściu. Zgoda — ale czy to wszystko? Czy skupienie inteligentów wpłynęło na stabilność tej dzielnicy? Czy obraz będzie przez to już skończony, zamknięty, statyczny?

Właśnie na te pytania mam odpowiedzieć. Wspieraj Ariadno, która pouczyłaś Tezeusza, jak ma sobie radzić w niebezpiecznym labiryncie! Jeżeli na samym wstępie pozwoliłem sobie na tyle uogólnień, na wyrażenie tylu wątpliwości, to teraz muszę udowodnić, że takie wątpliwości istnieją...

### ROZGLĄDAM SIĘ PO GRAND-HOTELU

Zaczynam od swojej bazy, od Hotelu Grand. Rozsiadam się wygodnie w kawiarni, rozglądam po otoczeniu, i sam z sobą zaczynam przeprowadzać błyskawiczną ankietę na temat „who is who". Nikt mi nie zarzuci, że miejsce jest źle wybrane. Piotrkowska leży w samym środku Łodzi, a Hotel Grand w samym środku Piotrkowskiej.

Ten pan, mówiący po niemiecku, jest niewątpliwie przedstawicielem handlowym obcego kraju i przyjechał załatwić transakcje „we włókmie". Superstarannie ubrany, tak jak bywają ubrani tylko negocjanci handlowi, dzierży w ręku notes z reklamowym nadrukiem — no a cóż może robić w Łodzi? Jasne. Tamten pan przybył na pewno z daleka, ponieważ jest Murzynem. A że przy tym jest młodym Murzynem, więc prawdopodobnie studiuje na jednej z tutejszych uczelni. Dwaj zażywni panowie ani chybi są literatami, ponieważ wykrzykują co chwila: „Brandys, Brandys!" Albo: „Wyka, Wyka!". Wszedł jeszcze ktoś, z wypłowiałą cerą i wymawiający l, zamiast ł. Aktor. A zaraz za nim paniusia z piętnastoma torebkami opatrzonymi napisem „Delikatesy". Majstrowa „z włókna"? I na koniec młody człowiek w towarzystwie pięknej dziewczyny. On — skórzana kurta, koszula w kratę, okulary, nerwowy tik w lewym policzku. Ona — jako się rzekło — wyjątkowej urody, o twarzy nieskażonej żadną myślą...

No i dość błyskawicznej ankiety. Notuję: handel włóknem, wyższe uczelnie, teatr, film, literatura, przybysze z peryferii... Domorosły Sherlock Holmes pójdzie teraz śladem tych notatek. Domorosły Sherlock Holmes jest jednak na tyle uczciwy, aby przyznać od razu, iż „ankieta" dlatego poszła mu tak łatwo, że już przed tym wiedział coś niecoś o śródmieściu Łodzi.

### BUSINESSMAN I URZĘDNIK PAŃSTWOWY

Nie byłem nigdy w przedwojennej Łodzi, zaś atmosfera wielkiego businessu znana mi jest wyłącznie z amerykańskich filmów. Konto, dyskonto, akredytywa, giełda — te pojęcia wydają mi się równie dalekie jak nazwy kraterów na księżycu. Strajki łódzkie znam tylko z suchych, rzeczowych relacji ludzi, którzy kiedyś w nich uczestniczyli, a którzy dzisiaj opisują je już tylko dla celów dokumentarnych w cienkich książeczkach, oprawionych zazwyczaj w czerwone okładki. A przecież przy odrobinie wysiłku potrafię sobie wyobrazić ówczesne śródmieście Łodzi. Były to czasy permanentnej bitwy toczonej zaciekle i w tym właśnie Grand Hotelu, w tych wszystkich secesyjnych, zadymionych lokalach, pośród pluszu, złoconych sztukaterii, kandelabrów i luster. Już od świtu rycerze stawali w szranki; zbrojni byli w weksle, akcje i tabele giełdowe. Nie on mnie — to ja jego! Jaka to rozkosz chwycić za gardło przeciwnika, ogłosić go bankrutem! W domach kobiety z niepokojem czekały na wojowników: wróci jako milioner, czy jako zrujnowana szmata? Zaiste niewielka Łódź już wtedy uczestniczyła w wielkim businessie, niezliczonymi nićmi powiązana była z odległymi kątami świata — w sensie przenośnym i prawie dosłownym.

Cóż z tego wszystkiego dzisiaj zostało? Spokój, cisza. Statystyki powiadają, że w roku 1961 w śródmieściu Łodzi działa 9 banków, że w łódzkim wieżowcu pracuje 270 handlowców, władających biegle 4—5 językami, że w ciągu 8 godzin przychodzi do CETEBE nie mniej niż 150 depesz i dalekopisów oraz w Łodzi na krótko przed wojną, jeszcze nie zdążyła rozwinąć naukowej działalności. Praca naukowa i popularyzatorska spoczęła na barkach tutejszych Judymów, którzy podjęli się jej z racji patriotycznych, aby położyć tamę różnym zakusom germanizacyjnym wielkiego kapitału. Jan Augustyniak zakłada punkty czytelnicze i bibliotekę, Wanda Lipiec pracuje nad historią teatru... Samotnie i z minimalną pomocą materialną działają ci nieliczni Judymowie — jak gdyby Łódź leżała od Warszawy o tysiące kilometrów. Sytuacja ich zmienia się czasami na korzyść, gdy rządy w magistracie obejmują socjaliści — są to jednak okresy krótkie...

Ale przychodzi rok 1945 i z tego, czego było nie wiele, zostaje prawie zero. Statystyki z tego roku notują w Łodzi ubytek około 300.000 ludzi, w porównaniu z ostatnim rokiem przedwojennym. Olbrzymia większość tej liczby, to pomordowane ofiary hitleryzmu, a wśród nich — niemal cała inteligencja...

I tutaj pewien makabryczny paradoks sprowadza odmianę na lepsze. Łódź może zasilić się w inteligencję, ponieważ... nie istnieje Warszawa. O 120 kilometrów od Łodzi stoi miasto, które wydaje się miastem tylko z oddalenia. Wkraczają do niego ludzie wynędzniali, głównie absolwenci kacetów, ciągną od Dworca Zachodniego swoje ubogie tobołki tylko po to, aby przekonać się, że nie ma wcale Warszawy, że jest jedynie coś na kształt makiety, skonstruowanej z osmalonego kamienia. A tak marzyli o prawdziwym mieście, z porządnymi ulicami, ze światłem, z gazem, tramwajami, o domach wyposażonych chociażby w dachy!

No tak, ale w pobliżu jest Łódź.

Dobra Łódź szeroko otwiera podwoje. Wąwozem Piotrkowskiej płyną tłumy obdartusów, a Łódź ich wszystkich gdzieś lokuje, ubija, ugniata kolanem jak rzeczy w przeładowanej walizce. Płynie morze ludzkich głów — a co czego przedwojenny łódzki młyn odtwarzać trzeba dopiero siłą wyobraźni?

Inne czasy, inne obyczaje. Dzisiejszy łódzki kupiec jest przecież w końcu urzędnikiem państwowym. Stąd jego godność i nadmierny może spokój. Jego każdą decyzją zaaprobować musi przecież i kierownik działu, i dyrektor, i centralny zarząd, i czasem ministerstwo. Czym się denerwować? O czwartej kończy urzędowanie i wyłącza się z wielkiego businessu.

Bez obrazy dla naszego handlu. Nie miejsce tutaj na jakiekolwiek krytyki. Chcę tylko powiedzieć, że w dzisiejszych warunkach transakcje światowe nie mogą zadecydować — i nie decydują — o atmosferze śródmieścia. Walki o krzywą i plan toczą się w zamkniętych pokojach central handlowych, nie wypływają na zewnątrz. Bywa, że komuś, kto idzie Piotrkowską, zajedzie drogę furgon z belami bawełny; i wtedy dopiero przypomni on sobie, iż jest w polskim Manchesterze, który eksportuje do ZSRR, Egiptu, Tunisu, Nigerii, USA, Syrii etc. etc...

Inne czasy.

### OJCZYZNA JUDYMÓW?

W notatniku pozycja następna: Murzyn, czyli miasto akademickie. Łódź, przed wojną pozbawiona w ogóle szkolnictwa wyższego, obecnie ważny ośrodek naukowy, siedziba 8 wyższych uczelni, z czego 7 mieszczących się właśnie w śródmieściu...

Dla zrozumienia tego zjawiska znowu potrzebny „wehikuł czasu". Oto lata międzywojenne, lata jałowizny intelektualnej. Szczupła grupa inteligencji łódzkiej działa w rozsypce, „poprzydzielana" jest do poszczególnych koncernów, operuje tylko na polu praktycznym. Wolna Wszechnica, uczelnia — jak by się rzekło pół-wyższa, utworzona głowa, to rozum. Magister. Profesor. Inżynier. Z takim materiałem można już coś zaczynać.... Oprócz Warszawy zasilają Łódź inne miasta, zwłaszcza z terenów wschodnich. Instytucje naukowe powstają przeważnie w śródmieściu, bo tylko tam można znaleźć odpowiednie lokale, w śródmieściu również zdobywają mieszkania ci wszyscy intelektualiści, którzy później natchną Wacława Piotrowskiego do wspomnianego eksperymentu z latarkami.

I oto mamy już środowisko, które mogłoby zadecydować o charakterze śródmieścia. Tutaj znalazły się — jakośmy rzekli — wszystkie wyższe uczelnie z wyjątkiem Politechniki, tutaj 37 zakładów naukowych Uniwersytetu Łódzkiego, tutaj biblioteka z półmilionowym zbiorem książek, tutaj kluby i stowarzyszenia twórcze.

Mogłyby zadecydować... Ale stop! Wszakże przy budowie wieży Babel wynikły pewne trudności, ponieważ budowniczowie nie mogli się między sobą porozumieć. Nie znaczy to wcale, że łódzkie środowisko naukowe jest między sobą skłócone. Istnieją jednak pewne grupy i podgrupy, które uformowały się samorzutnie z zależności od miejsca pochodzenia „emigrantów", zaś armia rozczłonkowana traci przecież zawsze sporo ze swojej siły i nie potrafi narzucić nikomu swojego tonu i stylu.

Co robić? Czekać — powiadają mądrzy ludzie — aż dojdą do głosu młode kadry naukowe — już łódzkie. Może wtedy środek polskiego Manchesteru stanie się polskim Heidelbergiem.

### INTELIGENT NA KÓŁKACH

„Jestem wysoka i mam już piersi" — pisała trzynastoletnia kandydatka na gwiazdę do ówczesnego dyrektora Wytwórni Filmów Fabularnych, pana Brudzyńskiego. Inna oferowała osobiste spotkanie „w każdym miejscu i w każdym celu". Przychodziły takie listy setkami do Wytwórni, do wydziału filmowego Szkoły Dramatycznej — na każdej zaś kopercie figurowało magiczne słowo: Łódź.

O biedne gwiazdki z Pci-

*Śródmieście — ul. Piotrkowska*

*Łódź — miasto kobiet...*

mia i Kocmyrzowa! Wasza tragiczna pomyłka nie polega nawet na tym, że dyrektorzy wytwórni, to ludzie spokojni, żonaci i dzieciaci, którym ani w głowie „spotkanie w każdym celu"... Błąd popełniacie bardziej zasadniczy: Łódź od dawna już nie jest polskim Hollywoodem — i to musicie zrozumieć...

Owszem, była nim kiedyś. Tutaj w swoim czasie Wojskowa Czołówka zainstalowała lary i penaty, tu także przez pączkowanie zaczęła się ona rozmnażać w poszczególne wytwórnie: fabularną, oświatową, małych form... Wszystko, co żyło i liczyło się w świecie filmowym, mieszkało w Łodzi. Były to czasy, kiedy nie trudno tu było spotkać i Jagiełłę, i Papieża, i króla Zygmunta, wszystkich reżyserów w komplecie i wszystkich kierowników produkcji. Te czasy należą do przeszłości. Z ośmiu twórczych zespołów filmowych w Łodzi działa tylko jeden; mózg filmu jest więc gdzie indziej. Na miejscu został tylko zakład przemysłowy, aparat jedynie wykonawczy, hale i siedmiuset pracowników techniczno-produkcyjnych. Zakład, którego dalszy los w pewnym okresie był mglisty; zastanawiano się bowiem, czy go nie przenieść do Warszawy.

Otóż właśnie: Warszawa. Po raz drugi będzie mowa o niej w niniejszym szkicu, tym razem o jej roli z punktu widzenia Łodzi — „destrukcyjnej". Ta sama bliskość, te same 120 kilometrów, które kiedyś zadecydowały o ożywieniu intelektualnym łódzkiego śródmieścia, w kilka lat później spowodowały proces odwrotny. Odbudowała się Warszawa szybko i jęła wysysać wszystkich ludzi, którzy w nauce, w kulturze, w sztuce mieli coś do powiedzenia. Stolica. Centralizacja decyzji. Siedziba „tych u góry". Co tu dużo mówić — któż przedłoży Łódź ponad Warszawę, jeśli w stolicy wyłonią mu się jakieś możliwości? Zwłaszcza, jeśli w Łodzi wcale się nie urodził i jeśli ujrzał ją po raz pierwszy w 1945 r....

Ale Łódź zaprotestowała przeciwko temu upustowi krwi. Wysunęła wobec uciekinierów argument dosyć zręczny: tęże samą bliskość obu miast. Przecież mogą działać i tu i tam! I w taki to sposób doszło do narodzin nowego gatunku inteligenta. Profesor na kółkach. Adiunkt na kółkach. Reżyser na kółkach. Na kółkach własnych, to znaczy samochodowych, albo na kółkach PKP. I teraz pomyślcie tylko, czy mogliby cię ludzie — jedną nogą tkwiący w Warszawie, a drugą w Łodzi — przyczynić się do konsolidacji życia intelektualnego w łódzkim śródmieściu?

Blondyna w Hotelu Grand miała trochę szczęścia. Dopadła swego reżysera zupełnym przypadkiem, trafiła na moment, gdy motylek przysiadł na krótko na łódzkim kwiatku.

### GDZIE JESTEŚ STARA GWARDIO?

Trzymała się przed wojną w Łodzi bojowa reduta — była nią literatura. Zresztą „reduta", to może określenie niezbyt właściwe; raczej oddział szturmowy.

W literackim domu na Mickiewicza (także śródmieście!) odwiedzam weterana tamtych słownych kampanii. Marian Piechal pokazuje mi pisma — efemerydy, które z przyziemnych, pekuniarnych racji rodziły się długo, a żyły potem nader krótko. „Meteor", „Odnowa", „Prądy" — znane tytuły, a pod nimi znane nazwiska: Piechal, Timofiejew, Słobodnik, Sowiński, Kołoniecki, Władysław Bieńkowski — no i oczywiście Światopełk Karpiński, którego pomoc finansowa warunkowała bardzo często ukazanie się periodyku.

Gdzie jesteś stara gwardio? Jakież to Waterloo rozproszyło cię po świecie? I gdzie są twoi następcy?

No cóż — nie sposób ukrywać, że łódzkie środowisko literackie, podobnie jak wiele innych środowisk twórczych, padło ofiarą procesu „podrywania ludzi" przez Warszawę. Emigrowała stara kadra, emigrowali i młodsi. Przyczyna tej rejterady tkwiła chyba jednak w czymś więcej aniżeli w zwykłej, technicznej bliskości Warszawy. Bo wspomnijmy sobie tylko, jaką to ideą żyła awangarda z czasów „Meteoru". Poezja pracy, przemysłu — oto był magnes, który przykuwał do Łodzi młodych poetów i prozaików. Sugestie rzucone w artykule Peipera „Miasto, masa, maszyna" tutaj najłatwiej zapładniały umysły, w tej Łodzi, która w ówczesnej Polsce, pozbawionej na ogół wielkiego przemysłu, zajmowała miejsce wyjątkowe. A potem przyszła gospodarka powojenna, kominy fabryczne poczęły gwałtownie wyrastać w innych, starych i nowych miastach — i Łódź przestała być wyjątkiem. Inspiracje do „robotniczych" utworów można było znaleźć także i poza Łodzią...

Nieliczna grupa tych, co pozostali na miejscu, wyczuwa nieuchronność przemijania łódzkiego „egzotyzmu". Starsi — z pokolenia Piechala — zwracają się ku przeszłości miasta, chcą w utworach o charakterze pamiętnikarskim utrwalić obraz Łodzi międzywojennej, czyli odrobić to, czego w swoim czasie zaniedbali. Młodsi nie zawsze wiedzą, w którą stronę skierować poszukiwania.

### MIASTO JEST DOPIERO W ROBOCIE

Dużo jeszcze można by mówić o właścicielach socjologicznych latarek. O środowisku teatralnym chociażby, które ostało się wszystkim emigracjom i pod duchowym przewodnictwem Kazimierza Dejmka okopało się silnie na szańcach łódzkich. Śródmieście — to także 12 scen teatrów zawodowych i kilka teatrów studenckich. Do gmachu wieżowca — tej korony łódzkiego śródmieścia — panowie Orłowski i Szuster zwabili najlepszych aktorów i oczarowali ich techniką telewizyjną: Łódź ma w rezultacie jeden z najlepszych teatrów TV. Można by mówić o plastykach, wśród których sporo jest „nazwisk": Nowosielski, Krawczyk, Kondek, Fijałkowski...

Ale czy obraz śródmieścia, zaludniony jedynie inteligentami, nie ulegnie przez to pewnym wypaczeniom?

Nie zapomnijmy o tamtej paniusi z Hotelu Grand prezentującej swoje torebki z „Delikatesów" i „MHD". Nie tylko dla przybyszów z zewnątrz „prawdziwa" Łódź składa się wyłącznie z Piotrkowskiej, ściślej mówiąc z jej odcinka pomiędzy placem Wolności, a ulicą Tuwima. Każdego ranka secesyjne korytko Piotrkowskiej (szpetne — a przecież spotykałem takich, którzy mówili o nim ze wzruszeniem, jako o... narodowym zabytku) napełnia się ludzkim tłumem. Tęgie głowy twórcze giną pod lawiną „pospolitaków", ściągających tu z najdalszych przedmieść. Tradycja od grubych lat, jeśli coś kupić, to tylko na Piotrkowskiej. Jeśli do kawiarni — to na Piotrkowską. Na Piotrkowskiej jest wszystko najlepsze, wyjątkowe, jedyne. I to, cośmy pracowicie usiłowali wyodrębnić (koncepcja inteligenckiego śródmieścia), rozsypie się w jednej chwili pod naciskiem prawdy szarego dnia.

Mówiło się kiedyś o Łodzi: złe miasto.

Dzisiaj wypada powiedzieć: dziwne, nieukształtowane do końca. Pro domo sua należy wyrazić nadzieję, że reporter, który za lat pięćdziesiąt weźmie się do „opisywania" śródmieścia, będzie miał zadanie prostsze i wdzięczniejsze.

MIROSŁAW AZEMBSKI

Zdjęcia:

WACŁAW BILIŃSKI

*10 m od ul. Piotrkowskiej*

# JAN HUSZCZA

## PRZYJAZD KRÓLOWEJ

**Girlandy i żywe kwiaty fruwały po uliczkach**
**Na niklowanych tacach, wyjmowanych z lodu,**
**roznoszono limoniadę i grodziskie piwo**
**(Miejski Handel Detaliczny tym razem nie zawódł)**

**Na marynarkach, wydobytych z naftaliny surdutach**
**ożyły wszystkie ordery**
**(Nawet te, z carskich jeszcze czasów)**
**Kto tylko mógł, przyszył sobie epolety**
**(Jaka szkoda, że nie znaleziono ani jednej peruki!)**

**Przez trzy triumfalne bramy,**
**ozdobione świerkiem, dębiną i buczyną**
**przejechała jedyna w miasteczku taksówka,**
**wiozącą młodziutką królową**
**o twarzyczce delikatnej**
**jak płatek narcyza**

**Nowożeńcy na ten dzień powyznaczali swoje śluby,**
**a władze,**
**przecież bardzo skądinąd postępowe,**
**władze wystąpiły w sztuczkowych spodniach,**
**choć z oficjalnym gestem protestu**
**i drwiącymi minami**

**Aż czterech gaplów spadło z drzew przy farze**
**Spadając, jeszcze wznosili okrzyki na cześć królowej**
**Nikt nie skarżył się na nudę,**
**wszyscy tej niedzieli byli ogromnie wzruszeni,**
**wzruszeni i lepsi,**
**godni wielkiego przeżycia**

**Prawie wszyscy twierdzili, że tak długo na ten dzień**
**czekali,**
**choć na ogół domyślano się,**
**że to przyjechała Zosia Kwiatkowska,**
**co uciekła ze szpitala**
**(„Psychoza schizofreniczna przewlekła**
**z urojeniami wielkich roszczeń dziedzicznych")**

* * *

**W moim przybranym mieście,**
**mieście rodzinnym mojego syna,**
**niewiele słów znalazłem dla wierszy**

**Zanoszą się urywanym płaczem**
**strażackie syreny**
**w upale,**

**przez który nie toczy się rzeka**
**Tu rzadko kto pyta o poetów,**
**chodzą bezimienni,**
**pozdrawiając rękami topole**

**W moim przybranym mieście,**
**mieście rodzinnym mego syna,**
**kiedy z ciemności tysiącem dziobów deszcz**
**wyiska sadze,**
**noc miewa złote oczy fabrycznych okien**

**Wjeżdżają do miasta nowe dzielnice,**
**skwery szepczące językami szałwii,**
**więc jeszcze za wcześnie,**
**aby szukać dla niego formuły**

## ŚMIERĆ REFERENTA

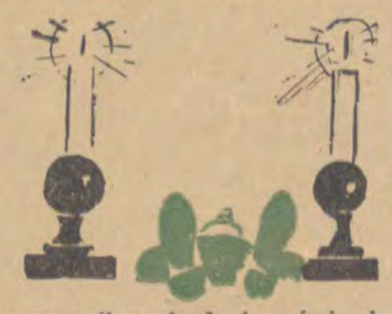

**To i ja przyczyniłem się do jego śmierci.**
**Jadł chleb ze śledziową sałatką,**
**gdy czekałem przed okienkiem na stempelek...**

**Ach, opisałem go za to w dziesiątkach felietonów,**
**siedem fraszek na niego wymyśliłem,**
**odmawiając mu prawa**
**do kataru, do dzieci, do karuzeli,**
**do niedzieli w podmiejskim lasku,**
**gdzie stare gazety wiatr jak obłoczki rozpędza.**

**Jemu przypisałem nawet klęskę nieurodzaju!**

**Podobno lubił niektóre moje wiersze.**
**Podobno o nic nie miał do mnie żalu...**

**Hodował bratki w skrzynkach na balkonie...**

**W chwilę po śmierci jego głowę otoczyła**
**Aureola,**
**Aureola ostra jak zygzak jego podpisu,**
**Aureola, wyprowadzona z czarnego kleksa...**

**Gdy go odprowadzano na cmentarz,**
**szlochali wszyscy etatowi satyrycy,**
**ślubując**
**odtąd ośmieszać ministrów...**

**(Boże,**
**zlituj się nad ministrami,**
**żeby mieli łagodne serca dla satyryków!)**

JERZY WILMAŃSKI

# A może jesteś Marsjaninem?

A może pomylił się stary Darwin, może rozwój gatunku ludzkiego nastąpił tak właśnie jak chciał brodaty mędrzec, ale... na innej planecie. A może to wszystko w ogóle wyglądało inaczej? Skąd bowiem wziął się w pokładach węgla z trzeciorzędu idealny stalowy prostopadłościan? Skąd wzięły się w pododeskich jaskiniach idealnie oszlifowane kości zwierzęce? Kości oszlifowane niewątpliwie metalowym narzędziem, kości z epoki pliocenu, w której człowiek nie wkroczył nawet przecież w okres kamienia łupanego. Kto zatem wywiercił w nich równe, symetryczne otwory, kwadratowe, okrągłe?

A może to nasza kosmiczna rodzina mieszka nad brzegami jeziora Titicaca w Andach?

Aleksander Kazancew w jednym z ostatnich numerów „Smieny" zestawia zjawiska o których nie lubią mówić naukowcy. Nie lubią, bo zjawiska te, odkrycia, wykopaliska w sposób oczywisty dowodzą czegoś, co zbyt wygląda na fantazję, aby mogło być przedmiotem naukowych dociekań.

Wróćmy zatem nad jezioro Titicaca, na którego brzegu leżą ruiny miasta. Archeolodzy oceniają jego wiek na 10-15 tysięcy lat. W mieście zachował się fragment świątyni słońca pokryty tajemniczymi znakami. Kiedy w roku 1949 odczytano wreszcie zapis okazało się, że... jest to bardzo dokładny kalendarz. Kalendarz, niestety, nie ziemski.

Przytoczmy teraz fragment książki Zenona Kosidowskiego pt. **Królestwo złotych łez.** „Wirakocza był najwyższym bogiem peruwiańskich ludów. Wyobrażano go sobie jako brodatego człowieka o białej skórze, który pojawił się ongiś na niebotycznych wyżynach Andów opodal jeziora Titicaca. Na starość opuścił ludzkość, powędrował na zachód i zniknął w falach morskich. Według starych przepowiedni wysłannicy tego boga mieli kiedyś zjawić się w krainie Andów".

Owszem zjawili się pod wodzą Pizarra hiszpańscy zdobywcy. Brodaci, o białej skórze. Dziś wiemy, że podbój Inków może Pizarro zawdzięczać głównie owej prastarej przepowiedni. Bez wynikającego z niej kredytu zaufania trudno byłoby Hiszpanom dokonać w tak szybkim stosunkowo czasie podboju nieznanego kraju.

Ale nas ciekawi co innego. Skąd się wziął biały człowiek kiedyś przed tysiącami lat na szczytach Andów. Czemu wyrył na bramie słońca marsjański kalendarz? Skąd na jednym z płaskowyżów andyjskich wziął się klasyczny niemal kosmodrom z ciągnącymi się przez kilometry znakami z białych skalnych płyt.

Tego typu zagadek jest znacznie więcej. Kazancew pisze m.in. o starej hinduskiej legendzie, która mówi o tym jak to przybysze z nieba nauczyli ludzi kuć żelazo. Na jednym z placów Delhi stoi taka licząca 1500 lat kolumna stalowa. Stal, nierdzewna stal sprzed półtora tysiąca lat?

Zobaczmy jednak również co pisał przed trzema laty Adam Then. W wymarłym mieście nad jeziorem Titicaca — dowiadujemy się z publikacji — odkryto w starych kopalniach kalendarz. Wiemy, powiedzą czytelnicy, kalendarz marsjański. Otóż nie — choć znalezisko również jest zastanawiające. Zatem w 1937 roku odkryto w wspomnianych kopalniach „wyryty w kamieniu kalendarz, który mimo, iż pochodzi z końca okresu trzeciorzędu jest lepszy od współczesnego. Uwzględnia bowiem nie tylko pozorny ale i prawdziwy ruch satelity".

Mieliśmy zatem niewątpliwie na naszej planecie gości z kosmosu. Świadczą o tym nawet odkryte na Saharze malowidła z szóstego tysiąclecia przed naszą erą. Otóż większość wyobrażonych tam osób ma na sobie hełmy i ubiory przypominające do złudzenia skafandry kosmiczne.

To wszystko brzmi jak fantazja. Są to jednak znane i wielokrotnie cytowane fakty. A fakty — powtarzam — są uparte. Uczeni radzieccy Kazancew, Gricaj, Jacko sprawom tym poświęcili swe badania. Ostatnia (1960 rok) wyprawa na miejsce upadku tzw. meteorytu tunguskiego przyniosła co prawda wyniki świadczące, że w 1908 r. chyba nie spadł jednak w Syberii statek kosmiczny. Prasa codzienna podała zresztą oficjalny komunikat na ten temat. Nie znaczy to jednak, że nauka powiedziała tu swoje ostatnie słowo.

Ostatniego słowa nie powiedziano przecież także w sprawie tajemniczych księżyców Marsa. Jak bowiem ma się rzecz cała? Oba marsjańskie księżyce odkrył w 1877 roku amerykański astronom Asaph Hall. Odkrył i zdumiał się. Księżyce marsjańskie kpiły sobie i kpią do dzisiaj ze wszelkich praw fizyki. „Żadna hipoteza — napisał Andrzej Trepka — pochodzenia układu słonecznego nie może wyjaśnić w jaki sposób powstały te dziwne małe księżyce".

Ale nie rozmiary są tutaj najdziwniejsze. Otóż Fobos i Deimos krążą na wysokości 6 i 20 tysięcy kilometrów od powierzchni planety, a więc niezwykle nisko. (Dla przykładu: odległość ziemskiego księżyca wynosi prawie 400 tysięcy kilometrów). Poza tym Fobos obiega swą planetę z prędkością trzykrotnie większą niż wynoszą obroty Marsa — co jest również ewenementem w naszym układzie słonecznym.

Żeby jednak wszystko wyglądało bardziej nieprawdopodobnie warto dowiedzieć się, że (cytujemy Andrzeja Trepkę): „W wyjątkowo sprzyjających warunkach Deimos można dostrzec przez teleskop o średnicy 11 centymetrów. Dla narzędzi jakimi się posługiwali bez rezultatu niektórzy poszukiwacze księżyców Marsa (W. Hersche. w 1783 i d'Arrest w 1862) zarówno Deimos jak i Fobos są dostępne bez żadnych trudności". Jaki więc wniosek z powyższych rozważań — „nie odkryto wtedy księżyców Marsa ponieważ one nie istniały. Musiały pojawić się między rokiem 1862 a 1877" — konkluduje autor.

Tak więc sprawa jest prawie oczywista. Fobos i Deimos są dziełem istot rozumnych. Za takim stwierdzeniem przemawia jeszcze wiele innych dowodów jak np. niezwykła symetria orbit czy masa satelitów, która w porównaniu z wielkością nasuwa nieodparty wniosek, że ciała te są wewnątrz puste.

Jak już powiedziane zostało wyżej, nauka na ten temat nie powiedziała ostatniego słowa. Cierpliwy Czytelnik raczy jednak zestawić tajemnice śladów gości z kosmosu z niemniej tajemniczymi satelitami Marsa, aby wyciągnąć wniosek, że mamy (lub mieliśmy) sąsiadów. Tak więc nie wiadomo, może jesteśmy potomkami nie znanych kosmonautów sprzed kilkunastu tysięcy lat? Może kosmodromy na płaskowyżu Andów zapełnią się kiedyś kosmicznymi statkami i mieszkańcy staruszki Ziemi dowiedzą się ku własnemu zdumieniu że są... Marsjanami.



GRZEGORZ TIMOFIEJEW

# Nie masz wina nad węgrzyna!

Okrzyk ten, wznoszony w dawnych czasach przez zachwyconych smakoszów, świadczy o dużej popularności w Polsce trunku węgierskiego. Przypomnam o tym z okazji Świąt i Nowego Roku. Polacy, co prawda słyną z cnoty wstrzemięźliwości, ale — być może — ten i ów do kieliszka zajrzy, niechże więc przeczyta mój ściśle naukowy felieton.

Zamiłowanie do węgrzyna przechowało się w Polsce przez długie wieki. Wierny towarzysz rycerskiego animuszu, literackich biesiad, politycznych dysput i zwyczajnej towarzyskiej pogwarki albo kłótni — węgrzyn posiada piękną historię, a nawet legendę, jako że dzisiejsze czasy wolą piwo lub „czystą wyborową".

Przypatrzmy się dziejom węgrzyna drodzy bibosze. Spójrzmy jak musuje w beczkach, jak rozzłaca się w butelkach i błyszczy w rzeźbionych roztruchanach.

Przy pielęgnowaniu w piwnicach wina węgierskiego zauważono — mówi H. Fukier — osobliwe zjawisko. Oto wino w beczkach burzy się w tym samym czasie, kiedy jego rodzinne winnice zaczynają kwitnąć. Jest to jakby nostalgia wina — tęsknota za ojczyzną, z której węgrzyna wywieziono. Bo, jak to już sama nazwa wskazuje, węgrzyn wywodzi się z winnic węgierskich.

W średniowieczu wino węgierskie było w Polsce mało rozpowszechnione. W większej ilości zaczęto sprowadzać je w XV i XVI wieku. W roku 1552 skarżą się mieszczanie Koszyc, że bocznymi drogami przemyca się wino do Polski nie płacąc cła granicznego. Może zjawia się i naśladownictwo, gdyż niebawem rajcy krakowscy wydają rozporządzenie, aby sprzedawano węgrzyna obowiązkowo z etykietką, która ma być koloru zielonego.

Dobroć i renoma złocistego trunku zyskuje w Polsce wielką popularność i powoduje „winne nadużycia". Sejm uchwala w roku 1611 prawa sprzedaży węgrzyna i określa trasę, którą wolno ten trunek rozwozić. O ile przyłapią kogoś na drodze zakazanej, zabiorą mu wino, którego połowa należy się królowi, połowa zaś temu, kto przemyt przydybie.

Wino kosztuje już 6 groszy za gąsior i staje się nieodzownym kompanem w życiu towarzyskim a również i natchnieniem dysput politycznych. Szymon Starowolski zauważa w „Reformacji obyczajów polskich": „Za Zygmunta Augusta w jednym tylko domu w Krakowie wino szykowano, teraz niemal w każdym. W klasztorze, u plebanów i u samych panów". To „teraz" odnosi się do panowania Zygmunta III Wazy. W tym czasie węgrzyn zyskuje sobie prawo obywatelstwa w Polsce. Jest nie tylko importowany. Polacy nauczyli się już hodować latorośl i pielęgnować grona winne nie gorzej, a nawet lepiej od Węgrów. Wniosek? Polacy — nie gęsi i swój węgrzyn mają!

W Polsce węgrzyn trafił nie tylko na podniebienia smakoszów, które umiały ocenić wyborny smak tej słodkiej malmazji, różnorodność odcieni od zupełnie wytrawnego do słodkiego, wykwintny aromat zwany „bukietem" oraz moc i długotrwałość wina. Polacy nauczyli się hodować węgierskie wino i prześcignęli w tym kunszcie Węgrów. Stąd powstało znane powiedzenie o węgrzynie: „Hungaria natum — Poloniae educatum".

**Gdy w XVII wieku wina węgierskie** osiągnęły w Polsce największy popyt, powstały w kraju liczne składy i winiarnie, gdzie sprzedawano trunki hurtowo i detalicznie — beczkami i na gąsiorki. Przy stołach winiarni gromadzili się smakosze tak szlachta jak i zamożniejsze mieszczaństwo, a przede wszystkim sejmikowi krzykacze. Obficie racząc się węgrzynem towarzystwo rozprawiało de publicis. Winne walory budziły animusz rycerski, no i in-

# WSPÓŁCZESNY IKAR może być kobietą

Dla uniknięcia „włoskich nieporozumień" i ze względu na brak zdjęcia ilustrującego wzrost, informujemy na wstępie, że rozmówczyni nasza, pani Pelagia Majewska, jest więcej niż średniej postury.

O urodzie zaś mówi fotografia en face.

*Niedawno dowiedzieliśmy się z prasy codziennej, że otrzymała pani najwyższe odznaczenie lotnicze świata — medal Lilienthala. Zajrzałem natychmiast do encyklopedii i dowiedziałam się: „Otto Lilienthal ur. 23. 5. 1848, zginął śmiercią lotnika 10. 8. 1896 r. Był inżynierem. Od 1891 roku dokonywał lotów szybowcowych na skonstruowanych przez siebie aparatach".*

— Pierwszy medal Lilienthala przyznała Międzynarodowa Federacja Lotnicza — FAI — naszemu rodakowi, Tadeuszowi Górze w 1938 roku. Tadeusz Góra jest lotnikiem, który zapisał się chlubnie w czasie ostatniej wojny, a obecnie wolne chwile chętnie spędza na szybowiskach. Wojna przerwała nadawanie medalu. Dekorację wznowiono w 1946 roku. Nagrodę otrzymują naukowcy, konstruktorzy, lotnicy a nawet organizatorzy sportu lotniczego.

*— Jak pani zareagowała na wiadomość o przyznaniu medalu?*

— Ciekawsze znacznie było jak się dowiedziałam o tej przyjemnej nowinie. Byłam na zawodach w Lesznie. W pewnej chwili podbiegła do mnie koleżanka radziecka Margerita Raceńska i pokazał mi notatkę w moskiewskiej „Prawdzie", mówiąc:

Popatrz, jesteś nagrodzona Lilienthalem.

Nie bardzo chciałam wierzyć, ale rzeczywiście czarne na białym „stało" moje nazwisko obok Jurija Gagarina — nagrodzonego za największe osiągnięcie lotnicze świata oraz konstruktorów — dwóch amerykańskich i radzieckiego.

*— Ile ma pani rekordów na sumieniu?*

— 9 rekordów świata. Ale wracając jeszcze do Lilienthala, to chyba zainteresuje pana, że w ubiegłym roku nagrodę otrzymał między innymi konstruktor francuski za Caravelle. Wręczenie nagrody odbyło się 18 października br. w Monaco, w Muzeum Oceanograficznym w czasie odbywającej się tam konferencji wyborczo-sprawozdawczej FAI. Pobyt w Monaco był bardzo przyjemny, a szczególnie mnie cieszyła kąpiel w morzu. Pogoda była cudowna.

*— Jakie wrażenie sprawiła na pani Grace Kelly, miłościwie panująca księżna Rainier?*

*Pelagia Majewska*

— Niestety ciekawości nie mogłam zaspokoić, księstwo wyjechali w tym czasie. Nagrody wręczał nam minister. Nie można sobie nawet wyobrazić, jak długa wydawała mi się droga do stołu prezydialnego po odbiór medalu! Aha, nie byłabym kobietą gdybym nie powiedziała nic o mojej sukience przy tej ceremonii. Otóż była to lekka wełenka koloru szarego przetykana białą nitką. Kreację tę uszyła mi moja siostra Zosia, psycholog z profesji.

Największym jednak naszym sukcesem w czasie pobytu w Monaco były wyniki wyborów. Vicepreze-dentem FAI został prezes Aeroklubu PRL, p. Stefan Antosiewicz.

*Zdaje się, że jest pani drugą kobietą w świecie, która otrzymała to odznaczenie?*

— Tak. Pierwszego Lilienthala otrzymała w roku 1951 Francuzka, Marcelle Choisenette.

*— Ile godzin w swym życiu spędziła pani w powietrzu?*

— Na szybowcach i samolotach silnikowych łącznie o koło 1400.

To nie jest wcale dużo, ale jeśli ma się dwu i półrocznego Sławka, to trzeba częściej chodzić po ziemi.

*— Może powie pani kilka słów o naszym szybownictwie.*

— Szybownictwo jest u nas bardzo popularnym sportem. Szczególnie młodzież garnie się do latania. Toteż najbardziej lubię pracę z młodzieżą, a najmilej wspominam czasy lubelskie, kiedy organizowałam w szkole harcerskie drużyny lotnicze. Wysoką klasę reprezentują u nas kobiety. W Polsce np. 8 kobiet ma złote odznaki z 3 diamentami podczas gdy we Włoszech tylko jedna. Nic w tym zresztą dziwnego. W krajach zachodnich szybownictwo uprawiać mogą tylko bardzo zamożni ludzie. Szybownictwo jest tam sportem ekskluzywnym. Na zachodzie bardzo interesują się szybownicy naszym sprzętem i urządzeniami pokładowymi. Ostatnio mistrzostwo Włoch zdobył zawodnik na naszej „Musze—Standarcie".

*— Jakie jest pani najmilsze przeżycie sportowe?*

— Udział w zawodach szybowcowych w sierpniu br. we Włoszech. Lotnisko znajdowało się między Perugi i Assyżem. Byliśmy urzeczeni pięknem starych Włoch i przysłowiowym niebem. Warunki lotów były jednak bardzo trudne. Jeden z kolegów, który powrócił z lotu z okaleczoną ręką, twierdził, że odpychał się od skał. W zawodach uczestniczyli Włosi, dwóch Anglików, Niemiec z NRF, Szwajcar, Belg i Francuz. Najbardziej utkwił mi w pamięci 230-kilometrowy przelot i lądowanie w okolicy Monte Cassino. Osiadłam na ziemi o zmierzchu. Ponieważ nie znam języka włoskiego organizatorzy zaopatrzyli mnie w kartkę zawierającą informacje kim jestem, w jakich zawodach biorę udział i w jaki sposób miejscowa ludność ma zawiadomić szybowisko o moim lądowaniu. Podeszła do mnie duża grupka ludzi i tak jak Włosi z filmu Felliniego zareagowali na moje zjawienie się okrzykami. A ja stałam jak słup soli i nie wiedziałam co powiedzieć. Pokazałam im „glejt", który odczytał z powagą ewangeliczną zakonnik z długą czarną brodą. Na szczęście później zjawił się Włoch znający plus minus angielski, a nawet kilka osób pamiętało jeszcze z czasu pobytu naszych wojsk słowa i zdania w stylu „cholera", „dzień dobry", „kocham cię" no i oczywiście sporą porcję „łaciny". Oglądając mnie z bliska, dziwili się, że Polki są takie wysokie. Ale skoro mówię tylko o sukcesach, to muszę się przyznać, że wraz z moim pomocnikiem Maksią Paszyc, przyprawiłam Włochów o świętе oburzenie. Nosiłyśmy mianowicie shorty. Powoli jednak przyzwyczaili się, a w nasze ślady poszła Angielka, żona zawodnika.

*— Najbliższe plany?*

— Start w mistrzostwach szybowcowych Polski w Lesznie w r. 1962, które odbędą się w wyjątkowo silnej obsadzie. Wezmą w nich udział najlepsi zawodnicy, no i oczywiście zawodniczki z państw obozu socjalistycznego.

**Pilnie słuchał i notował:**

**JAN JANISZEWSKI**

sfynkty warcholskie. To ostat nie pozostało do dziś.

**W Warszawie jeszcze za książąt mazowieckich** istniała piwnica, w której raczono się winem, miodem i piwem. Wódki wtedy nie pijano, ale można ją było dostać w aptece jako lekarstwo. Dziś kupujemy lekarstwa na wódkę.

W połowie XV w. rozpleniły się „loszki" przy ulicy Gołębiej i Piwnej w Warszawie. Szczególnie ta ostatnia przybrała charakter pijacki i — rzecz dziwna — dewocyjny zarazem. Tu było najwięcej zakładów poświęconych miłości bliźniego i miłości gardła oraz żołądka. „Na ulicy Piwnej — pisze Fr. Galiński w

swoich warszawskich gawędach — wśród „wiech", godeł, piwiarni i winiarni kołyszących się przed każdą niemal kamienicą, widniały w dwóch miejscach płaskorzeźby (prawdopodobnie polichromowane), z których jedna przedstawiała św. Łazarza okrytego ranami przez psy lizanymi, druga zaś św. Marcina, dzielącego się swym płaszczem z ubogim".

Najbardziej znanym z winiarzy był przybyły z Wrocławia w **XVI w. Grzegorz Korb.** Działali też „na niwie winnej" i Fuggerowie protoplaści późniejszych Fukierów. Oni to sprowadzali wina zagraniczne w wielkiej ilości — nie tylko węgierskie, lecz i francuskie, włoskie oraz hiszpańskie.

W rynku Starego Miasta w Warszawie wspomniany Grzegorz Korb założył winiarnię, która słynęła na całą Polskę z jakościowych trunków. Winiarnia mieściła się w piwnicy **domu nr 27.** Pamiętnikarz XVIII wieku ks. Kurowski wspomina te lata i miejsce pod znakiem winnej latorośli: „Tu dawniej licznie uczęszczała szlachta na posiłek, stąd magnaci do swoich stołów brali kosztowne nektary, tu wypoczywali urzędnicy zapijając sądowe i domowe kłopoty szacownym darem Bacha. Tu niekiedy wysokiego urodzenia i stopnia, głośni w kraju mężowie w skromnym odzieniu zwiedzali skrycie zakład głośny w Polsce i w Warszawie".

W pierwszych **latach XIX wieku słynna winiarnia prze-**

szła na własność Fukierów i pod tym nazwiskiem zażywała dalszej sławy aż do pierwszej i drugiej wojny światowej.

Czasy się zmieniają. Inne powstają płynne delicje. Miast omszałych gąsiorków, które spoczywały w mrokach wiekowych piwnic, za szybą nowoczesnych sklepów oglądamy trunki z fabryczną etykietą.

Tylko we wspomnieniach, w wiernej pieśni przechowała się legenda czasów, stojących pod znakiem winnej latorośli. Piewca dawnej Warszawy, Or-Ot, składa hołd sławie Fukiera w następującej zwrotce:

*„Czy masz w żyłach krew szlachecką,*
*Czy toś miejska gwiazda szczera,*
*Zawżdy modą staroświecką*
*Ciągniesz waści do Fukiera.*
*Zacna pani Maciejowa,*
*Co jest w gębie jak megiera,*
*Złotówczynę w garści chowa*
*Na lampeczkę u Fukiera".*

Życząc czytelnikom lampki dobrego węgrzyna ku uczczeniu dawnych „dobrych czasów", przestrzegamy jednak przed panią Maciejową. Inna rzecz, że każdy ma taką Maciejową, na jaką sobie zasłużył.

**GRZEGORZ TIMOFIEJEW**

KRONIKA

# SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

## INTRONIZACJA (VII)

Oficjalna wiadomość o poślubieniu Barbary przez Zygmunta Augusta została ogłoszona 17 kwietnia 1548 r. tj. w siedemnaście dni po śmierci króla Zygmunta Starego.

Zygmunt August dokonał tego trudnego oficjalnego aktu ogłoszenia o swym małżeństwie z rozwagą i zręcznością, która dobrze świadczy o jego zdolnościach dyplomatycznych. Przede wszystkim z jego polecenia Barbara opuściwszy Dubinki przebywała przez kilka dni incognito w rodzinnym pałacu radziwiłłowskim w Wilnie nie pokazując się na królewskim dworze, czyli sąsiadującym z pałacem Radziwiłłów zamku gdzie przebywał jej mąż.

17 kwietnia Zygmunt August przewodnicząc na Radzie senatu wysłał swych zaufanych oddanych mu panów litewskich do pałacu radziwiłłowskiego po Barbarę.

Senatorowie niecierpliwili się zapewne i dziwili przedłużeniu obrad przez króla. Było to oczywiście robione przez Zygmunta Augusta celowo. Dopiero gdy po zawiadomieniu, że wysłani przezeń panowie litewscy wprowadzili Barbarę uroczyście z pałacu radziwiłłowskiego na zamek, król wstał i oznajmił, — jak pisze historyk Baliński — zaskoczonym senatorom że „co dotąd dla słusznych, a nader ważnych przyczyn utaił, dziś wszystko im odkrywa". Łatwo sobie wyobrazić wrażenie jakie to posunięcie przez zaskoczenie wywarło na zmęczonych przedłużającymi się obradami senatorach.

— *„Barbara jest moją żoną* — mówił Zygmunt August — *obrządkiem chrześcijańskim i w obliczu jej krewnych w małżeństwo mi oddana. Wiecie, iż żadna moc na świecie takiego związku, prawnie między chrześcijanami zdziałanego rozerwać nie może".*

Po tym oświadczeniu król wyszedł do przedsionka, gdzie powitał swą małżonkę królewską przybywającą w gronie wiernych mu panów litewskich. — *„Gdy za wolą Bożą z przedniejszego domu na Litwie i znacznego ojca „zrodzoną"* — zwrócił się jeszcze do Rady Senatu — *wziąłem za żonę, proszę aby oddawano jej cześć jako królowej i pani."*

Wyobrażam sobie miny panów senatorów na widok króla, wprowadzającego małżonkę w świetnym orszaku do komnat zamkowych, które przeznaczył jej na mieszkanie. Opisana ceremonia pociągnęła za sobą od razu poważne konsekwencje natury publiczno-prawnej: został ustalony skład oddzielnego dworu królowej z urzędnikami i dworzanami. Ochmistrzem czyli przełożonym nad dworzanami został mianowany kasztelan lubelski Stanisław Maciejowski, rodzony brat kanclerza w Koronie, biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego. Było to również nader zręczne posunięcie ze strony Zygmunta Augusta, gdyż w ten sposób zjednywał sobie poparcie Kanclerza Koronnego dla swego małżeństwa. I rzeczywiście jak wykazał bieg wypadków w Koronie, biskup Maciejowski był jednym z nielicznych, którzy na słynnym Sejmie Piotrkowskim, obradującym od 31 października 1548 r. do 12 grudnia tegoż roku, od samego początku stał wiernie u boku króla. Udowadniał on że *„na tym ożenieniu nie tak należy* (zależy — uw. moja Wł. R.) *wiele, gdyż król w innych rzeczach dosyć będzie czynił swej powinności."* Dodawał przy tym, że to *„nie nowina jest pojąć poddaną swoją"* i wskazywał, że również *„wielcy monarchowie to czynili; króla pana zmarłego* (Zygmunta Starego) *ożenienie pierwsze nie w książęcym, ani w królewskim domu było, ale w szlacheckim"* Biskup Maciejowski miał tu na myśli małżeństwo Zygmunta Starego z pierwszą żoną Barbarą Zapyolanką która pochodziła z domu szlacheckiego. Argumentował dalej że król francuski Franciszek I ożenił swego syna (Henryka II Walezjusza) z Katarzyną ze znanej rodziny florenckiej Medyceuszów, od niedawna wówczas posiadających tytuł książęcy. Jak widać, ksiądz biskup Samuel Maciejowski był dobrze zorientowany w stosunkach dynastycznych i matrymonialnych w panujących w Europie rodzinach królewskich. Ale najbardziej chyba przekonywującym argumentem było że dom Radziwiłłów był domem książęcym, gdyż w roku 1518 otrzymał Mikołaj Radziwiłł Rudy tytuł księcia na Goniądzu i Medelach od cesarza Maksymiliana I. zaś w 1547 r. Mikołaj Radziwiłł Czarny otrzymał tytuł księcia na Olyce i Nieświeżu od cesarza Karola V. Ostatnim zaś argumentem księdza-biskupa było, że — nie żona zdobi męża, lecz mąż żonę! (Oto znak czasów charakterystyczny dla XVI stulecia!)

Podczaszym na dworze królowej Barbary na zamku wileńskim (czyli dworzaninem, którego obowiązkiem było podawać królowej w czasie biesiady napoje) został mianowany Jan Tarło.

Na Litwie przyjęto wiadomość, o oficjalnym uznaniu Barbary za małżonkę królewską względnie spokojnie. Ale w Koronie miał Zygmunt August ciężki orzech do zgryzienia. Orientując się w oporze, jaki napotka w Krakowie, powziął równie rozsądne i zręczne już poprzednio postanowienie, i wybrał się do Krakowa na uroczystości związane z pogrzebem ojca sam, pozostawiając Barbarę na zamku w Wilnie Ale o tym już w następnym felietonie.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

# XII Zjazd ZLP w Katowicach

Ponieważ nie wszyscy się orientują, trzeba poinformować na wstępie, że zjazdy literatów dzielą się na doroczne zjazdy sprawozdawcze i na zjazdy wyborcze nowych władz ZLP, które odbywają się raz na trzy lata. Otóż stał się pięknym zwyczajem fakt, że każdy prawie doroczny zjazd sprawozdawczy odbywa się w terenie, coraz to w innym środowisku literackim. A że tych środowisk czyli oddziałów ZLP jest w naszym kraju 13, więc gdyby nie było żadnych przerw między tymi zjazdami, każde ze środowisk gościłoby u siebie kolegów z całego kraju co 13 lat.

Kto przyjeżdża na taki zjazd? Przede wszystkim delegaci, z których każdy reprezentuje 10 kolegów swego środowiska. Mają oni na tych zjazdach prawo czynne i bierne zupełnie jak posłowie na sejmie. Ale poza nimi mogą na swój koszt przyjeżdżać na te zjazdy w charakterze gości i dyskutantów wszyscy inni członkowie ZLP. Mogą stawiać wnioski, ale nie mogą głosować, zasiadać w rozmaitych komisjach i w ogóle o czymkolwiek decydować. Reszta obecnych na sali to przedstawiciele władz, dziennikarze, obserwatorzy i goście z bratnich związków twórczych i zawodowych. W tym roku np. znaleźli się na sali obrad w dość sporej liczbie przedstawiciele księgarstwa, gdyż jednym z problemów zjazdu była współpraca księgarzy z pisarzami nad usprawnieniem upowszechniania książki i czytelnictwa.

Z każdego więc środowiska literackiego w terenie czyli z oddziałów ZLP jadą na taki zjazd delegaci i z urzędu prezes oddziału. Z liczby delegatów można wnosić o ogólnej liczbie literatów w kraju. Zjazd w Katowicach liczył 88 delegatów, z samej Warszawy było ich 52, z Krakowa 14, zaś z Łodzi tylko 5. Wymowa tych liczb jest oczywista i powinna dać nieco do myślenia czynnikom odpowiedzialnym za kulturę w ogóle — a za żywe źródła tej kultury w szczególności — w naszym mieście. Jeżeli półtora razy większa od Łodzi Warszawa ma aż dziesięciokrotnie więcej literatów, a półtora razy mniejszy od Łodzi Kraków ma aż trzykrotnie więcej literatów, i dobrze im się w tych miastach dzieje, o wiele lepiej niż w Łodzi, chociażby przez to, że mają swoje pisma literackie, to w Łodzi szczególnie powinno się na tę garstkę literatów chuchać i dmuchać, aby im się działo lepiej, niż w tamtych przeludnionych nimi miastach. A jak jest w rzeczywistości? Jeśli Łódź nie chce spaść do poziomu prowincji w tym gorszym znaczeniu tego słowa, to musi swój stosunek do ludzi pióra i w ogóle do ludzi sztuki, zamieszkujących w jej obrębie, unormować przynajmniej w taki pozytywny sposób jak to zrobiła Warszawa i Kraków.

Tegoroczny XII Zjazd delegatów ZLP w Katowicach potwierdził w pełni tę prawdę. Właśnie pod tym hasłem, hasłem problemów terenowych, odbywał się ten Zjazd. Dwa główne referaty na tym Zjeździe, prezesa Zarządu Głównego ZLP, Jarosława Iwaszkiewicza, jak i gospodarza Zjazdu, prezesa Oddziału Katowickiego ZLP Wilhelma Szewczyka, podjęły i postawiły ten temat. Z obu referatów wynika niezbita prawda, że ożywiona działalność literatów w takich środowiskach robotniczych jak okręg śląski, łódzki i szczeciński zasługuje na szczególną uwagę i opiekę zarówno ze strony władz jak i społeczeństwa w dobrze rozumianym interesie kulturalnym tych środowisk i rozwoju kultury w ogóle. Mapa współczesnej kultury Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest nie do wyobrażenia bez efektywnego wkładu i aktualnego dorobku tych właśnie środowisk robotniczych. Delegaci łódzcy ze szczególną satysfakcją wysłuchali w obu referatach, a zwłaszcza w referacie głównym, mocno podkreślonego uznania dla łódzkiego środowiska literackiego za inicjatywę nawiązania bezpośredniego kontaktu pisarzy łódzkich z zakładami pracy i szerokimi rzeszami społeczeństwa łódzkiego za pośrednictwem akcji odczytowej, występów autorskich i tym podobnych imprez o charakterze upowszechniającym czytelnictwo, książkę i problemy kultury. Dowodem realności inicjatywy łódzkiej jest fakt, że koledzy krakowscy powzięli naszym śladem i na Zjeździe z pewnym rodzajem dumy oznajmili o trzech faktach ich współpracy z Nową Hutą. Ponadto w referacie głównym zwrócono uwagę na drugą ważną inicjatywę oddziału łódzkiego ZLP, a mianowicie kontaktów dyskusyjnych pisarzy z naukowcami. Mam wrażenie, że i ta inicjatywa łódzka znajdzie swoją kontynuację w innych środowiskach literackich.

Jak widzimy, łódzkie środowisko literackie, aczkolwiek niezbyt liczne, jest jednak dosyć prężne i żywotne, czego dowodem jest wkład, jaki wniosło w ogólne życie literackie naszego kraju. Mówię o tym bez chełpliwości, ale i nie bez pewnej uzasadnionej dumy. Delegatów łódzkich była zaledwie garstka, ale ta garstka była zauważalna i znaczna. Znaczna przez aktywność związkową i społeczną kolegów w Łodzi, na którą delegaci mogli się powołać, i sporą ilość książek przez nich wydanych, a widocznych wszędzie w księgarniach na całym Śląsku. Dowodem uznania dla delegatów łódzkich był ich wybór do rozmaitych komisji i do prezydium Zjazdu. Na Jana Koprowskiego spadł główny ciężar przewodniczenia obradom Zjazdu, a Igor Sikirycki był głównym wnioskodawcą projektu równouprawnienia wydawnictw terenowych z centralnymi pod względem możliwości i zakresu swych planów, a zwłaszcza Wydawnictwa Łódzkiego. Oczywiście poprzedzony był ten wniosek kilkoma głosami z trybuny zjazdowej, między którymi znalazł się skromny głos w sprawach łódzkich i w sprawach młodzieży literackiej także i piszącego te słowa.

Summa summarum ogólną konkluzję dwudniowych obrad Zjazdu możnaby streścić w następujących kilku zdaniach: zamiast bawić się pustosłowiem o ideowych zadaniach literatury, literaci mówili o konkretnych swoich powiązaniach i kontaktach ze środowiskiem robotniczym, z poszczególnymi zakładami pracy, mówili o doświadczeniach własnych w terenie, o przeżyciach w zetknięciu z aktualnymi problemami, o powiązaniach z żywymi ludźmi rozmaitych zawodów i specjalności, budujących wspólną naszą rzeczywistość. Sądzę, że wymowa tego faktu jest o wiele cenniejsza i bardziej konstruktywna, niż wszelkie słownie uchwalane manifesty i deklaracje ideowe bez pokrycia. Ideologia literatów przejawia się w ich konkretnym czynie — w artystycznym dziele służącym interesowi kulturalnemu świata pracy. To jest jedyna legitymacja, uwierzytelniająca szczerość ich ideowości. Innego sprawdzianu nie ma i być nie może! Dlatego w dyskusjach tyle mówiono o potrzebie stworzenia w terenie warunków do powstawania takich dzieł. I to było słuszne.

Obrady trwały dwa dni, ale sam Zjazd trwał trzy. Gdyż jak by na potwierdzenie tego, co się powyżej powiedziało na temat czynnej i konkretnej ideowości literatów, ten pierwszy dzień poświęcony był nawiązywaniu żywych kontaktów z ludźmi i problemami Śląska. W pierwszym dniu Zjazdu literaci zwiedzili przed południem wspólnie katowicki Park Odpoczynku i Kultury, wspaniale rozplanowany tuż pod miastem z olbrzymim nowocześnie pomyślanym stadionem sportowym i z największym w Polsce Planetarium górującym wyniośle nad całym Parkiem. W południe rozjechaliśmy się grupami po całym Górnym Śląsku, jako goście poszczególnych kopalni węgla, cementowni, hut i innych zakładów przemysłowych. Wracaliśmy późno wieczorem pijani doslownie nie tylko od wrażeń. Przysłowiowa gościnność górników wyraża się jednak bardzo konkretnie i, że tak powiem skutecznie. Tu nie ma żartów — za kołnierz wylewać niebezpiecznie. Tym tylko względom należy przypisać, że trzymając się na ogół zwarcie i razem grupka łódzkich delegatów rozdzieliła się i dobrze, że nie wsiąkła w terenie na amen. Wiem, że Wacław Mrozowski rajbował w kopalni „Wesołej" z Wojciechem Żukrowskim, Igor Sikirycki z Jerzym Putramentem w sławnej hucie „Florian", zaś Jan Huszcza z Hanną Mortkowicz-Olczakową fedrował w kopalni „Katowice", a potem „Klimontów", ale kto kogo podpierał i przywoływał do opamiętania w nadgorliwości świadczenia przyjaźni, to nie wiem. Jedynie Stanisław Czernik z piszącym te słowa, bacząc na nasz wiek, zachowaliśmy stateczny umiar, goszczeni sutо przez dyrekcję kopalni Grodziec i zwiedzając pilnie wszystkie jej pięknie rozbudowane obiekty, że tak powiem, usługowo-kulturalne.

W tych objazdach terenu jak i w obradach towarzy-

szyli literatom przedstawiciele miejscowych władz partyjnych i samorządowych, a także minister kultury i sztuki, Galiński i przedstawiciel KC PZPR, tow. Kraśko. Zjazd zakończył się w trzecim dniu tj. 9 grudnia br. wspólnym wieczorem poetyckim w Teatrze im. St. Wyspiańskiego, a po nim na pożegnanie tradycyjną „lampką wina" u przewodniczącego Prezydium RN m. Katowic, tow. Nieszporka.

Wydaje mi się, że te osobiste kontakty nawiązane i zacieśnione między literatami z całej Polski a społeczeństwem i przede wszystkim szerokimi rzeszami górniczego świata pracy na Śląsku, stanowią o największym znaczeniu i pożytku XII Zjazdu ZLP w Katowicach.

*Sabena, Air France, KLM ■ Zawodowy uśmiech przylepiony do warg. – Dziś w Warszawie – jutro za Atlantykiem ■ „Time is money" – zasada, którą wpisują do kontraktu o pracę ■ Więc śpiesz się, zmieniaj samoloty jak rękawiczki, bo czas to pieniądz. Złap go, nie daj się wyprzedzić konkurentom!*

# OPOWIEŚCI BIAŁYCH KOŁNIERZYKÓW

KRZYSZTOF POGORZELEC

Stary pachnący rumem i winem John Bull twierdził, że najpierw idzie flaga czyli armia, a potem oni — handel. Amerykański socjolog Cecil Wright Mils nazwał ich „armią w białych kołnierzykach". Tak, lśniący gors koszuli, wizytowy garnitur czasami też mogą być uniformem i mundurem.

Zawsze — „żołnierzy" handlu zagranicznego.

Możesz spotkać ich wszędzie. Również i tych z łódzkiej CETEBE, SKÓRIMPEXU oraz TEXTILIMPORTU. Są wszędzie tam, gdzie wiodą przez świat szlaki i ścieżki Merkurego — bożka kupców i — niestety — złodziei. Mają swój własny handlowy język pełen skrótów i umownych znaków, wśród których słowa „loco" i „fob" grają chyba najważniejszą rolę. Dla nich pracują setki dalekopisów i teleksów, świat cały został splątany liniami telefonicznych kabli...

Stop. Nie mam zamiaru odsłaniać metod pracy, którymi posługują się ludzie handlu zagranicznego. Na swoich ścieżkach, często egzotycznych, spotykają oni człowieka. I to jest temat rozmów, które przeprowadziłem z nimi między jednym „skokiem" do Paryża, a wyjazdem do Ghany, Gwinei czy Borneo. Moi rozmówcy są bezimienni. Znak rozpoznawczy — nieskazitelnie biały kołnierzyk.

* * *

— Widzi pan, moim pierwszym wyjazdem była wyprawa do dalekiej Rodezji. Spodziewałem się oczywiście, że zobaczę tam dużo egzotycznych widoków, a przede wszystkim myślałem, że wreszcie zobaczę dzikie zwierzęta żyjące na wolności. Spotkałem się z rozczarowaniem. Otóż ludzie, którzy w Rodezji mieszkają już nawet 50 lat nie widzieli na oczy... ani jednego słonia! Tak, taka jest w przypadku ośrodków miejskich ta daleka i egzotyczna Afryka.

— Chce pan jeszcze inny obrazek? Więc znowu Rodezja. Tym razem miasto Salisbury. W godzinach popołudniowych jego ulice przybierają wygląd wielkomiejskich ośrodków Belgii, Holandii czy Norwegii tak pełne są rowerów, na których Murzyni wracają do domów po pracy. I słówko o samochodach. Rodezja to chyba kraj posiadający prymat pod tym względem na świecie. Na 300 tysięcy białych zamieszkujących w Rodezji — 200 tysięcy samochodów! Prawdopodobnie dziwi pana to rozgraniczenie na białych i... resztę. Otóż tak niestety jest i trudno przezwyciężyć do tej pory psychologiczne pozostałości kolonializmu. Tak np. gdy przyjechałem do jednego z ośrodków miejskich nazywającego się Blantyre — Limbe i zapytałem Anglika ile tutaj żyje ludzi, odpowiedział mi że 3 tysiące. Hindus powiedział już, że 10 tysięcy. Żaden z moich rozmówców nie uwzględnił w tym rachunku Murzynów. Miasto Blantyre — Limbe uwzględniając tę poprawkę liczy łącznie około 50 tysięcy mieszkańców.

* * *

— Wyprawa była bardzo egzotyczna i nieco kłopotliwa. Mieliśmy po raz pierwszy spenetrować pod względem handlowym rynek Barbadosu. Oprócz mnie — przedstawiciela CETEBE leciał także jeden z dyrektorów Łódzkiego Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego. W naszych walizkach posiadaliśmy piękne próbki materiałów bawełnianych, które pod względem kolorystycznym zdecydowanie forowały kolor zielony. Jakież było nasze zdumienie i zdenerwowanie, gdy na miejscu okazało się, że na Barbados kolor zielony jest oznaką żałoby i z tego względu nie ma mowy o tym by tego rodzaju tkaniny mogły się cieszyć masowym popytem. Trzeba było prosić Łódź o nadesłanie innych wzorów.

— To mniej więcej taka historia jak z naszymi fortepianami marki „Calisia", które zamierzaliśmy eksportować do Finlandii. Wtedy okazało się, że słowo „Calisia" znaczy w języku naszych kontrahentów ni mniej ni więcej tylko... męskie inekspymable!

* * *

— Na ogół społeczeństwo jest przeświadczone, że praca ludzi handlu zagranicznego sprowadza się do bardzo przyjemnych bankietów oraz przyjęć. Więc wam powiem — o mniej przyjemnych stronach tego zawodu. W Syjamie, z którym Polska nie ma stosunków dyplomatycznych, przetrzymano mnie na lotnisku 24 godziny w zamkniętym i dusznym pokoju, gdyż policja obawiała się komunistycznej kontrabandy. W Turcji zaczynaliśmy od tego, że ja wraz z żoną wynająłem mały pokoik w hoteliku, zresztą brudnym i podrzędnym i to było całe biuro naszej placówki handlowej. Jeżeli już mowa o Turcji...

Pewnego razu prowadziliśmy rozmowy o zakupienie poważnej partii towarów. Tak się złożyło, że ze strony polskiej handlowe negocjacje z Turkami prowadziło trzech handlowców z różnych central eksportowo-importowych. Ja władałem czterema obcymi językami, moi koledzy w sumie również czterema. I w trakcie konferencji zauważyliśmy, że nasi goście są speszeni, że swoje rozmowy urywają w pół zdania, mimo, że próbują mówić w języku niemieckim, hiszpańskim, włoskim, a nawet miejscowym dialektem żydowskim. Wreszcie tureccy kupcy poprosili o udostępnienie im jakiegoś osobnego pokoju, by mogli się sami naradzić.

Zrozumieli, że Polacy znają wszystkie języki, którymi aktualnie oni posługują się w swoich prywatnych rozmowach.

* * *

— Człowiek, który po raz pierwszy wyjeżdża do egzotycznych krajów z Polski zostaje zaskoczony. Znowu Afryka. Tym razem Południowa. Biali żyją tam na ogół w ośrodkach rezydencjonalnych, a więc poza handlowym city. Przeciętna „stopa" białego — zwykle Anglika? Trzech Murzynów. To znaczy kucharz, boy oraz ogrodnik do wyłącznej dyspozycji. Ta trójka może mieszkać w dzielnicy białych. Oczywiście w specjalnym osobnym domku. Ale już nie mają prawa do tego ich najbliższe rodziny. Wymaga to zgody białych mieszkających w całej dzielnicy rezydencjonalnej.

— Czy mówił pan o swego rodzaju afrykańskim „kulcie najważniejszej osoby"?

— Aha, Abisynia. Byłem na seansie w kinie, które jest tak luksusowe, że nie znajduję dla niego odpowiednika nawet szukając wśród sal kinowych Paryża czy Londynu. Pełna klimatyzacja, 1200 miejsc no i ta cena za bilet około 2,5 dolara abisyńskiego czyli 1 dolar amerykański. W sumie było nas na sali 26 osób. Po wyjściu z kina stanąłem zaskoczony. Tłumy ludzi padały na chodnikach na kolana. Przez ulice przemknął samochód wiozący cesarza Haile Selassie. Nawet biali, gdy jadą samochodem, są obowiązani na głos syreny cesarskiego wozu lub jego rodziny zatrzymać samochód i wyjść z niego by oddać ukłon „najważniejszej osobie". Zresztą żaden obcy wyrób nie może trafić na rynek abisyński, jeżeli w jakiś sposób nie manifestuje miłości do cesarza Haile Selassie. Stąd też wizerunek abisyńskiej głowy państwa na okładzinach polskich zeszytów eksportowych do tego afrykańskiego państwa.

* * *

— Trafiłem do Indii, gdy w Kalkucie szalała zaraza cholery. Dziennie notowano kilkaset wypadków śmiertelnych. Władze miały wtedy jeden zasadniczy kłopot: jak przełamać opór ludzi należących do kast, którym religia zabrania... przyjmować zastrzyki. A jeżeli już o Indii mowa, to warto tutaj powiedzieć o pewnej swoistej gradacji w „stopie życiowej". Człowiek, który ma już łóżko bambusowe na własność jest bogatym, kozę — to już bogacz, a prawdziwe „szczyty" oznacza posiadanie jakiejś nędznej nory z dachem. Odwiedziliśmy spółdzielnię szewców, którzy robili na nasze zamówienie buty. Pracowali w warunkach po prostu nie do opisania. Siedzieli w kucki na betonowej podłodze posługując się najbardziej prymitywnymi narzędziami a wykonywany but trzymając w... chwytnych stopach. To robi przykre, wprost druzgocące wrażenie na Europejczyku, który trafił do Indii z innych przecież stosunków społecznych. Proszę sobie wyobrazić, że spotkaliśmy tam młodego inżyniera, który był w Polsce na studiach. Zarabia on tam miesięcznie 120 rupii. Nasza dieta za dzień pobytu wynosiła 60 rupii...

Są także inne rzeczy, które muszą szokować. Biały człowiek, Europejczyk, właściwie nie ma prawa iść pieszo, czy wsiąść do autobusu zapełnionego krajowcami. Moje wejście do jednego z autokarów podmiejskich wywołało takie zdumienie, że konduktor nie tylko opróżniał dla mnie miejsce na fotelu, ale również sąsiednie ławki bym się... nie otarł o tubylców.

— W takim razie i ja się dołożę: pewnego dnia pracowałem w biurze agenta handlowego i trzeba było coś szybko przepisać na maszynie. Więc chciałem sobie sam przenieść maszynę. Wywołało to nie tylko zdumienie, ale protest zgromadzonych Hindusów. Biały człowiek pracujący fizycznie! Po prostu to jest niemożliwe.

— A teraz trochę zabawne zdarzenie. Przybyliśmy do jednego z biur handlowych by zapoznać się z butami oferowanymi na sprzedaż. By dojść do gabloty trzeba było przekroczyć biały chodnik, przy którym jednak siedziało w kucki kilka osób. Nie namyślając się długo stanęliśmy na tym „chodniku". Miejscowi byli zaskoczeni. Okazało się, że był to... rodzaj stołu.

* * *

— Wypada tutaj także powiedzieć o pewnych kłopotach i niebezpieczeństwach handlu zagranicznego. Do centrali przychodzą piękne pisma od różnych agentów zagranicznych wskazujące, na podstawie umieszczonych kont bankowych, że to prawdziwy handlowy potentat. W praktyce jednak...

— Nieraz okazuje się, że jest to maleńki sklepik w lepiance z trzciny i gliny. Innymi razy, a było to w Lagos, kupiec okazał się zwykłym nabieraczem. Znaczne kłopoty powstają także, gdy chce się uzyskać prawo do importowania jakichś wyrobów polskiego przemysłu. Niektóre państwa bronią się barierami celnymi i wymagane jest uzyskanie specjalnej licencji. A z kolei licencję nie tak łatwo dostać bo w grę wchodzi... albo procent od obrotów, albo zwyczajna łapówka. Te praktyki okryte zwykle tajemnicą są jednak powszechne i zmusza to władze do stosowania kar. Tak np. w Ghanie za wręczenie „łapówki handlowej" grozi kara kilkuletniego więzienia...

* * *

NIE WIEM CZY TE WYRYWKOWE „OBRAZKI" POKAZAŁY WAM CHOĆ CZĘŚĆ TRUDÓW, Z JAKIMI SPOTYKAJĄ SIĘ NA CO DZIEŃ LUDZIE W „BIAŁYCH KOŁNIERZYKACH". TRUDÓW CZŁOWIEKA NA RÓŻNYCH KONTYNENTACH, SZEROKOŚCIACH I DŁUGOŚCIACH GEOGRAFICZNYCH. JEŻELI TA OPOWIEŚĆ JEST NIEPEŁNA TO Z TEGO POWODU, ŻE MOICH ROZMÓWCÓW JUŻ NIE MA W ŁODZI. O ILE WIEM JEDEN Z NICH PERTRAKTUJE W KAMBODŻY, INNY W PAKISTANIE, A TRZECI W NIGERII. POWODZENIA.

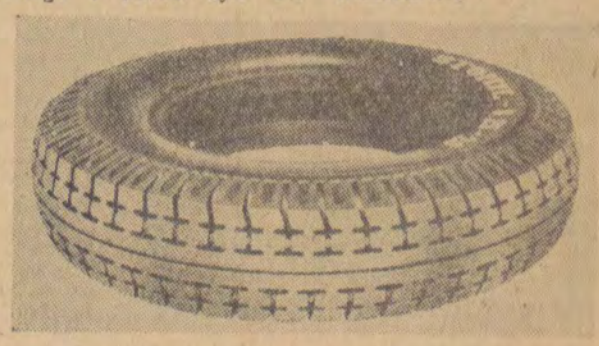

**W roku 1960 Centrala Eksportowo-Importowa CETEBE sprzedała zagranicznym kupcom różne tekstylia za okrągłą sumkę 200 milionów złotych dewizowych. Po stronie przywozów w tym samym czasie figurowała kwota 74 mln zł dewizowych. Były takie dni, w których na bocznicę kolejową przy ul. Towarowej przychodziło 20 i więcej wagonów z „importem".**

**Co kupujemy? Bieliznę, materiały, obuwie, chemikalia. Ale przede wszystkim bawełnę i wełnę. W tym ostatnim przypadku również w formie odpowiednio „skomponowanych" szmat.**

**Trochę statystyki: w stosunku do roku 1959 łódzcy handlowcy z CETEBE, o ile chcą zrealizować plany, będą musieli sprzedać w przyszłym roku o 360 proc. więcej różnych towarów. Słowo o odbiorcach polskiego przemysłu włókienniczego: handlujemy z 70 krajami całego świata. Terenem najsilniejszej penetracji polskiego handlu zagranicznego jest obecnie Afryka.**

**TEXTILIMPORT. Centrala, która zajmuje się zakupywaniem przede wszystkim surowców dla polskiego przemysłu lekkiego, a więc bawełny i wełny. Głównymi dostawcami są: Australia, Egipt, Sudan, Ameryka Południowa oraz Stany Zjednoczone. Niemniej jednak 60 proc. naszego zapotrzebowania na bawełnę pokrywamy dostawami ze Związku Radzieckiego.**

**Ciekawostka: od niedawna Textilimport zajmuje się także... eksportem, sprzedając m. in. szmaty oraz dawniej palone pażdzierze. Za te surowce uzyskaliśmy około 250 tys. funtów szterlingów.**

**Nazywa się SKÓRIMPEX i handluje z całym światem polskimi butami, wyrobami z gumy, galanterią skórzaną. W roku 1962 naszym odbiorcom zaoferujemy butów za około 50 mln zł dewizowych. Odbiorcami SKÓRIMPEXU są m. in. USA, Kanada, Anglia, Belgia, kraje Ameryki Łacińskiej, Afryka.**

# BŁYSKAWICA

Zwierzenko

Osada hutnicza „Szybki Wytop" przewyższała wszystkie inne — zarówno pod względem ilości pracujących robotników jak i różnorodności rozrywek.

Nie było powodów do narzekania: każdy tydzień przynosił coś nowego. To urzędnik kantoru Palankinow zakochał się i w obecności swych kolegów otrzymał reprymendę od dyrektora, to krowa sztygara zbiesiła się, to świnie zjadły synka kucharki kreślarza... Zaś pewnego razu lekarz miejscowy amputował robotnikowi nie tę nogę, którą należało. Nudzący się urzędnicy mieli ucichy na cały tydzień.

Nie mało też uciechy sprawiła młodzieży górniczej historia z przybyszem o nieustalonym nazwisku, który błądząc w mroźną noc po osiedlu wdrapał się na stary piec koksowniczy, żeby się trochę ogrzać i spłonął. Gdy bezdomny położył się na piecu, ten był ledwo ciepły, a potem ogień rozpalił się, przebił przez warstwy węgla i spalił bok śpiącemu. Popalony przypominał swym wyglądem dużego prosiaka — skóra na nim była popękana, włosy osmalone. A ponieważ z powodu różnych formalności cały tydzień leżał nie pochowany — urzędnicy kantoru, tęskniący do świeżej, nowej twarzy, gromadą chodzili do szopy, odkrywali prześcieradło i oglądali nieboszczyka.

Ale to wszystko bladło wobec wydarzenia, które zostawiło trwały ślad na życiu osady... Wydarzeniem tym tym był kinematograf i stereoskopy.

Pewnego jesiennego poranka, podobnego jak dwie krople wody do innych poranków, do kantoru wszedł chudy, czarniawy mężczyzna o twarzy Cygana i białych zębach. Błysnął zębami, błysnął białkami oczu i zażądał, żeby go zaprowadzono do głównego inżyniera...

Inżynier, po krótkiej rozmowie z przybyłym, wszedł do kantoru i powiedział:

— Proszę panów, monsieur Kibabczicz proponuje urządzić u nas na jakiś czas kinematrograf. Myślę, że można mu dać na to zezwolenie, pod warunkiem jednak, że nie odbije się to ujemnie na toku produkcji załogi naszej osady...

— Chętnie obejrzymy pana kinematograf — odezwał się stary Lichowidow.

* * *

W dużym pomieszczeniu, noszącym nazwę „poczekalnia" (dlatego, że zimą setki robotników oczekiwały tu wypłaty) kipiała praca. Cieśle naciągali płótno na ramę i stawiali ławki dla publiczności.

Urzędnicy raz po raz wyskakiwali z kantoru popatrzeć jak przebiegają przygotowania — chcieli się upewnić, czy wszystko będzie gotowe do niedzieli wieczór, na kiedy to zapowiedziana została premiera.

Już w sobotę rano nikt w kantorze nie pracował. Urzędnicy chodzili od biurka do biurka, wiodąc ożywione rozmowy.

— Sympatyczny facet ten Kibabczicz. Swój chłop. Wczoraj był nawet na obiedzie u sztygara Anisimowa...

— Mówcie co chcecie, ale żeby urządzić takie widowisko, to trzeba mieć nie lada spryt. To przecież jak teatr!

— A jego siostra będzie grała na mandolinie — odezwał się szczwany Masalakin.

— Co powiesz? Artystka?

— Oczywiście, jeśli gra na mandolinie.

— I ty ją znasz?

— Znać, to jeszcze nie znam, ale mogę ją poznać... przez Anisimowa.

Na twarzach obecnych malowała się nieukrywana zazdrość.

Nadeszła niedziela. Chociaż początek seansu wyznaczony był na godzinę ósmą, robotnicy zjawili się już o czwartej, pracownicy kantoru o wpół do siódmej, a buchalter i sztygar, jak prawdziwi arystokraci — o siódmej.

Masalakin zdążył już się zapoznać z siostrą Kibabczicza, niepozorną brunetką, i od siódmej tkwił koło jej krzesła, oglądając mandolinę z artystycznym spokojem człowieka, potrafiącego nad sobą panować.

Masalakin był ubrany szykowniej od innych. Miał na sobie smoking, ciemno czerwoną kamizelkę i błyszczące pantofle, przez otwory których widać było białe skarpety. Na palcu jego błyszczał brylantowy pierścionek, który dostał od Pietuchina w zamian za wybrane dzieła Juliusza Verne, a w krawacie sterczała tak ogromna szpilka, że Masalakin od czasu do czasu jednym zamaszystym ruchem podbródka z góry na dół — wtykał ją głęboko po samą główkę w krawat.

Panie patrzyły na niego z uwielbieniem, pracownicy kantoru zazdrościli, a on rzucał na wszystkich wyrozumiałe spojrzenia i wiódł półgłosem rozmowę ze swą sąsiadką.

I tak myślał:

— Dlaczego nie wszyscy ludzie są jednakowi? Dlaczego ja jestem ładny, potrafię porozmawiać, a inni urzędnicy — godni pożałowania i niczym się nie odznaczają? Dlaczego pan Bóg jednych wyróżnia, a innych zbija w gromadę?

Premiera przeszła wszelkie oczekiwania. Obrazy wesoło migotały na ekranie, m-lle Kibabczicz grała na mandolinie walc „Sen życia", a Masalakin nachylał się ku niej od czasu do czasu, pragnąc wszystkim pokazać, że między nim a tą kobietą nawiązały się już przyjacielskie stosunki.

— Czy zna pani coś z „Eugeniusza Oniegina" Czajkowskiego? Albo marsz: „Parada górników"?

Na przerwie córka sanitariuszki ze szpitala — Agłaja Fiedorowna przywołała Masalakina.

— Ho, ho, ale wspaniale pan wygląda! Niech pan powie — zna pan tego impresario, jak on się nazywa...

— Kibabczicz. Oczywiście, że znam.

— Proszę mnie z nim zapoznać.

Masalakin pobiegł do budki, wywołał Kibabczicza i wziąwszy go przyjacielsko pod rękę zaprowadził do trzeciego rzędu.

— Chodź, Kostia. Zapoznam cię z jedną panną...

Wszyscy aż westchnęli z podziwu, że Masalakin jest już na „ty" z dumnym, bogatym dyrektorem kinematografu. Urzędnicy nie ukrywali swej zazdrości. Jak ten człowiek potrafi wszystko załatwić!

* * *

Rano w kantorze znowu zazdroszczono dumnemu jak paw Masalakinowi. Dopytywano go o domowe życie dyrektora kinematografu, a urzędnicy mrugając znacząco mówili:

— A pan ani na krok nie opuszcza tej co grała na mandolinie. Jeszcze się pan w niej zakocha...

— Nie takim do tego skory! — śmiał się beztrosko Masalakin. — Mnie po prostu pociąga świat teatralny i artyści. W nich jest coś szlachetnego.

Czy ona faktycznie jest jego siostrą?

— Ta-ak. Skończyła kurs gry na mandolinie, bywała w Petersburgu, nawet dość często.

Na przerwie obiadowej Masalakin zaproponował:

— Może skoczymy do kinematografu?

— Teraz? Przecież o tej porze tam nic nie ma.

— Nie szkodzi. Pokażę wam płótno, taśmy filmowe. I takie małe obrazki.

I jak obeznany ze wszystkim przewodnik powiódł urzędników do „poczekalni".

Panował tu półmrok. Kibabczicz coś tam majstrował przy budce, a jego siostra zmieniała w mandolinie strunę.

— Państwo zapoznają się... — powiedział Masalakin.

— Bardzo nam przyjemnie — odpowiedziała panna.

— Bardzo przyjemnie... Bardzo przyjemnie... Bardzo przyjemnie... — powtórzyli jak echo trzej urzędnicy.

Kibabczicz wygramolił się z budki i przystąpił do demonstracji płótna i taśmy filmowej.

— Doprawdy za płótnem nic nie ma? — zdziwił się Uważajew.

— Absolutnie nic — zwykła ściana.

— Zdumiewające. A ja myślałem... A to co takiego?

— Stereoskop. W tej chwileczce zaświecę żarówkę. Jeżeli w ten otwór wrzucicie piątaka i pokręcicie korbką, zobaczycie rozbierającą się paryżankę, kąpiel w Biarritz i meczet w Kairze. Bardzo ciekawe.

Rozbierająca się paryżanka podobała się najbardziej. Pietuchin stracił na nią trzy piątki, Uważajew cztery, a pewien niskiego wzrostu dopiero niedawno przyjęty do pracy urzędnik o bladej twarzy — czterdzieści kopiejek.

A gdy oni oglądali rozbierającą się Venus z nad Sekwany, Masalakin wszeptywał coś bezustanku pannie cichym, rozleniwionym głosem.

* * *

Co wieczór zapalały się lampy, publiczność wykupywała bilety i Kibabczicz demonstrował swe filmy. Nie zważając na to, że było ich tylko osiem i program ani razu nie zmieniał się — ludzie chętnie po dziesięć razy oglądali i „Wyrób garnków we Wschodnich Indiach" i „Pani gniewa się" (bardzo śmieszne) i „Wędrówkę po Zambezzi" (pejzaże). Publiczność waliła tu codziennie, bo bardzo miło było zobaczyć starych znajomych: panią, tłukącą naczynia na głowie męża, Murzynów, taszczących hipopotama i niezdarnego sztukatora oblewającego farbą przechodniów.

— Teraz będzie „Ofiara Hazardu" — anonsował Pietuchin, rozwaliwszy się w drugim rzędzie.

— Nie, to następny film — zgłaszała sprzeciw córka sanitariuszki Agłaja. — Teraz pójdzie „Pani gniewa się" — strasznie komiczne. Możecie polegać na mojej pamięci. Konstantin Siergiejcz! zawołała, obracając się w stronę budki. — Nieprawda, że teraz wyświetlicie „Pani gniewa się", komiczne?

— Tak jest, Agłajo Fiedorowna. A zresztą puszczę ten film, jak pani zechce.

— Ale z pana dżentelmen!

Agłaja aż się zaczerwieniła z zadowolenia. Wszyscy zazdrościli jej.

W ciągu dnia w „poczekalni" zawsze sterczał któryś z urzędników kantoru. Częstym gościem był tu Pietuchin, który witając się z Kibabcziczem, mówił:

— Smutno mi jakoś na duszy. Może obejrzeć „Paryżankę"?

— Proszę bardzo — przystawał z ochotą Kibabczicz. — Bardzo ciekawe.

Pietuchin wrzucał piątaka, oglądał „Paryżankę", potem „Kąpiel w Biarritz", a potem, żeby odsunąć od siebie podejrzenia o skłonnościach do erotyki — ofiarowywał piątaka na smutny „Meczet w Kairze".

Przychodził też często Uważajew.

— Oglądałeś już „Paryżankę"?

— Oglądałem. I meczet widziałem. I kąpiel.

— A nie masz ochoty jeszcze raz obejrzeć? Co tam piątak! Obejrzymy?

— Niech będzie.

Przyjaciele zajmowali stanowiska przy stereoskopach i kręcili zapamiętale korbką, rozkoszując się znajomą do ostatniej falbanki bielizny paryżanką.

— Przyjdziecie wieczorem? — pytał Kibabczicz.

— Oczywiście. Pokażecie „Pani gniewa się"?

— Wszystko pokażemy. Przychodźcie.

Kibabczicz był jasnym promieniem osady, mimo iż urzędnicy rujnowali się na bilety i stereoskopy. Zapraszano go z siostrą na obiady, na imieniny, dawano im do przejażdżki wierzchem konie hutnicze... Agłaja wyhaftowała Kibabcziczowi niebieską koszulę, a Masalakin darował madmoiselle Kibabczicz olbrzymie pudełko cukierków — tak suchych, że przed jedzeniem trzeba było je oblewać ciepłą wodą.

* * *

I oto któregoś jesiennego dnia wszystko to nieoczekiwanie skończyło się... Kibabczicz oświadczył, że na drugi dzień odbędzie się pożegnalny spektakl, po czym wraz z siostrą i swym kinematografem przeniesie się na nowe miejsce.

Zgasł jasny promień...

Najbardziej ze wszystkich byli niepocieszeni Masalakin i Agłaja... Córka sanitariuszki przyszła wieczorem do Kibabczicza, wywołała go i miała z nim długą rozmowę. A Masalakin powiedział swojej artystce, że chyba nie przeżyje tego wstrząsu... Panna Kibabczicz oświadczyła, że muszą się rozstać, a Masalakin odpowiedział na to, że wszystkie artystki są jednakowo obojętne i bezlitosne!... I dodał, że jeśli on kiedyś umrze, to niemało w tym będzie czyjejś winy...

Po zakończeniu spektaklu na cześć dyrektora kinematografu i jego siostry wydano kolację, na której Pietuchin wygłosił dłuższe przemówienie. Jego myśl przewodnia sprowadzała się do podziękowań, jakie on, Pietuchin, składa dyrekcji za umożliwienie im kulturalnej rozrywki, a pieniądze to właściwie głupstwo, o którym nie warto mówić.

Wszyscy siedzieli smutni jak na pogrzebie... A rano liczna trupa pożegnała osadę... Odjechali: brat, siostra, paryżanka, pani gniewa się, sztukator, hipopotam, meczet i Agłaja, która porzuciła swe rodzinne strony dla daleko ciekawszego życia z czarującym awanturnikiem Kibabcziczem.

I stało się martwo, ciemno i pusto...

I nawet nieudane samobójstwo Masalakina przy pomocy chlorku sodu, którego całą bańkę ukradł z apteki hutniczej — nie rozruszało śpiących,

Przełożył:

**ADAM OCHOCKI**

Zoszczenko

# Kradzież

## Przełożył: Adam Ochocki

Złodziejstwo u nas jest. Ale coraz mniejsze.

Ten i ów zdążył się już zmienić i więcej nie kradnie. A innym jest wszystko jedno. Gdy nie ma bogatych właścicieli i milionerów, przestawili się i okradają teraz państwo.

Oczywiście kradną nie tak, jak dawniej.

Dzisiaj tylko głupiec kradnie nie uwzględniając zmienionych warunków. Natomiast wielu doskonale zrozumiało teraźniejszość, oswoiło się z nowymi czasami i dostosowało do nich.

Na przykład niedawno popełniono kradzież w naszym sklepie spółdzielczym. A kradzieży tej towarzyszyła głęboka myśl filozoficzna.

To było tak.

Sklep spółdzielczy. Mnóstwo towarów. Eksportowe kaczki na wystawie. Łosoś, nie wiem dlaczego. Swińskie, przepraszam bardzo, połówki. Ser. To z jadalnych rzeczy. A z przemysłowych również mnóstwo artykułów. Damskie pończochy. Grzebyki. I tak dalej.

Wszystko to rzucone na kupę, tak że, można powiedzieć, ładnie wygląda na wystawie.

Ktoś tylnym wejściem dostał się nocą do magazynu przy sklepie i gospodarował tam na całego.

A co najważniejsze, stróż spał koło drzwi i niczego nie zauważył.

— Jakieś sny, powiada, faktycznie miałem tej nocy, ale nic takiego podejrzanego mi się nie śniło.

A mówiąc między nami, stróż bardzo się przestraszył, kiedy wykryto tę kradzież. Biegał po magazynie, wszystkiego się czepiał. Błagał, żeby mu krzywdy nie robić. I tak dalej.

Kierownik powiada:

— Ty nie wchodzisz tu w rachubę. Za to żeś spał, po głowie z pewnością cię nie pogłaskają. Jakąś tam drobną karę ci wyznaczą. Tak że się nie bój. I nie pętaj się pod nogami i nie denerwuj pracowników swymi krzykami. Idź sobie do domu i dośpij.

Ale stróż nie odchodzi. Stoi i denerwuje się coraz bardziej. A już najwięcej gnębi go, że tak dużo skradziono.

— Tego, powiada, po prostu nie mogę zrozumieć. Śpię zwykle czujnie i nogi wyciągam wzdłuż drzwi. To niemożliwie, żeby przeze mnie dwa worki cukru przenieśli.

Kierownik powiada:

— Diabelnie mocno spałeś, sukinsynu. To straszne, ile wynieśli stąd towaru!

Stróż na to:

— Niemożliwe, żeby dużo wynieśli. Obudziłbym się z pewnością.

Kierownik:

— Zaraz zrobimy protokół i zobaczymy na jakie straty naraziłeś państwo.

No i zaczęli sporządzać protokół w obecności milicji. Padają liczby. Sumują. Dodają. I tak dalej.

Stróż biadaczyna tylko ręce załamuje i prawie płacze — tak bardzo cierpi, współczuje państwu i złorzeczy sobie za ten przeklęty sen.

A kierownik powiada:

— Piszcie: dwieście kilo cukru rafinady, sto sześćdziesiąt paczek papierosów, dwa tuziny damskich pończoch, osiem pęt kiełbasy...

Kierownik dyktuje, a stróż podskakuje przy każdej liczbie.

Nagle odzywa się kasjerka:

— Zapiszcie jeszcze, że z kasy ściągnięto bony na sto trzydzieści dwa ruble. Trzy kałamarze i nożyczki.

Przy tych słowach stróż aż zakwiczał i przysiadł — tak bardzo się zmartwił.

Kierownik zwraca się do milicji:

— Zabierzcie tego stróża! Niech nam nie przeszkadza.

Milicjant powiada:

— Idzcie, dziadku, do domu. Jak będzie trzeba, to was zawołają.

W tym momencie rozlega się głos księgowego z sąsiedniego pomieszczenia:

Miałem tu jedwabny szal. Wisiał zawsze na ścianie, teraz nie ma go! Proszę zapisać — domagam się odszkodowania za poniesioną stratę.

Nagle odzywa się stróż:

— Ach, to drań! Nie brałem jego szala. I osiem pęt kiełbasy — to po prostu znęcanie się. Zabrano tylko dwa pęta kiełbasy.

W sklepie zaległa grobowa cisza. A stróż mówi dalej:

— Pies z wami tańczył! Przyznaję się. Ukradłem. Ale z natury jestem uczciwy. Oburzają mnie takie protokóły. Nie pozwolę, żeby mi dopisywano więcej, niż faktycznie wziąłem!

Na to milicjant:

Z tego wynika, dziadku, żeś się dostał do magazynu?

— Tak jest. Dostałem się. Ale nie ruszałem ani bonów ani nożyczek. Ani szala tego drania. Jeżeli chcecie wiedzieć, powiada, to wziąłem pół worka cukru, tuzin damskich pończoch i dwa pęta kiełbasy. I nie pozwolę, powiada, żeby takie złodziejstwa odbywały się pod moją firmą. Stoję na straży państwowych interesów. I oburza mnie, jako prawdziwego obywatela, co się tu dzieje — jak w bezczelny sposób obciąża się moje konto!

Kierownik na to:

— Oczywiście mogliśmy się pomylić. Zaraz to sprawdzimy. Będę bardzo zadowolony, jeśli mniej skradziono. Zaraz przerzucimy to wszystko przez wagę.

W tym momencie rozlega się głos kasjerki:

— Pardon, bony znalazły się. Zawieruszyły mi się pod papierem. Ale nożyczek nie ma.

— Zaraz ci splunę w te bezwstydne oczy! — krzyczy stróż. — Żadnych nożyczek nie brałem! Poszukaj lepiej, stara wrono.

— Są, są — odzywa się kasjerka. — Znalazły się i nożyczki. Patrzcie państwo — leżały na samym wierzchu w kasie, a ja ich nie widziałam.

— Jest i szal — powiada księgowy. — Zaplątał mi się w bocznej kieszeni płaszcza.

Kierownik na to:

— Trzeba zrobić nowy protokół. Okazuje się, że cukru brakuje, rzeczywiście, tylko pół worka.

Stróż do niego:

— Przelicz kiełbasę! Albo nie odpowiadam za siebie. Mam świadka, powiada, ile zabrałem. Niusza w każdej chwili zezna prawdę.

Wkrótce podliczono towar. Okazało się, że ukradziono dokładnie tyle ile zeznał stróż.

Stróża zaprowadzono na milicję. Razem z nim ową Niuszę, u której znaleziono skradzione rzeczy.

Jak widzicie więc — skradziono na grosze, a usiłowano zrobić z tego tysiące.

I tutaj właśnie jesteśmy świadkami tej współczesnej operatywności i tego twórczego polotu filozoficznej myśli, bez czego, jak mówią, w żaden sposób nie można się dzisiaj obejść.

Bez tego tylko głupiec dzisiaj kradnie. I szybko wpada.

# Świąteczny, prasoznawczy konkurs „Odgłosów"

## Listy OJCA Malachiasza

*Czy pożyczka sama w sobie dobrem jest czy złem?*

*Nigdzie nie powiedziano — pożyczajcie, a będziecie pożyczeni. Pożyczka wszak jest pomocą — odpowiedzą niektórzy — a pomoc to dobro. Toż to herezja. Pożyczka to pomoc pozorna wpychająca dłużnika w szpony tysiąca pokus. Prawdziwą pomocą jest jedynie lektura i drobne datki w niedzielę. A jak ocenić zwrot długu? Czynność to nie wątpliwie szlachetna, lecz jako owoc zła (pożyczki) złem tylko być może. Tak więc w związku wierzyciel (Kowalski) — dłużnik (Karol) — patrz prasa codzienna i inna — trzeba dostrzec niebezpieczeństwo, a nie (jak chcą niektórzy) przykład odrodzenia dobrych obyczajów. Zwłaszcza, że mimo niewątpliwego wieku XX zakonnicy nie powinni jeździć na motocyklach.*

*W ogóle groźnie jest, lecz... Nadzieja. Tyle jest słów na dzisiaj.*

## Czy uczciwość popłaca?

### Obok rzeczy

Jak kiedyś! Oczywiście była, jest i powinna być zdrową zasadą współczesnego człowieka. Cóż jednak wiemy o współczesnym człowieku? Wszystko i nic. To bardzo dużo! To bardzo mało — odpowie kontrowersyjny Czytelnik. Dużo i mało to pojęcia względne. Już Einstein, za nim Infeld, Tyrone Power, że nie wspomnę już o mym szkolnym koledze Tuwimie, poświęcili temu zagadnieniu sporo miejsca w swej niebagatelnej przecież twórczości. Weź, o miły Czytelniku, prosty fakt: Kowalski pożycza przyjacielowi 1.000 złotych. Sam akt pożyczenia jest nieskomplikowany, ale jakież wywołuje psychiczne komplikacje! Kowalski obciąża się psychicznymi zahamowaniami w stosunku do przyjaciela. Przyjaciel zaś rozpoczyna się czuć nieswojo w stosunku do Kowalskiego. Na tymże jednak nie kończą się te psychiczne powikłania, tak codzienne przecież dla epoki wielkiej techniki, w której żyjemy. Akt pożyczania według zasad wyższej moralności powinien pociągnąć za sobą akt zwrotu. A zatem nowa czynność i nowe w czasach sputników i lotów w kosmos — o ironio! — psychiczne konsekwencje, w postaci długotrwałych zahamowań moralnych, nieufności do społeczeństwa i ogólnej prostracji. Nie wspominam tu celowo o istotnym niebezpieczeństwie frustracji, aby felieton mój — o miły Czytelniku — nie spowodował serii kompletnych psychicznych załamań. Pismo nasze rozchodzi się bowiem w dziesięciu tysiącach egzemplarzy, ma więc co najmniej tyleż samo czytelników. Zakładam, że felieton mój przeczytany zostanie od deski do deski przez 50 tysięcy czytelników w kraju i za granicą. A iluż wśród nich Kowalskich i ilu przyjaciół Kowalskich! Więc pytam czy uczciwość popłaca?! Jak kiedyś, miły Czytelniku, jak kiedyś.

## Uwaga, margines konkursu!

TADEUSZ GICGIER

## DAWNIEJ i DZIŚ

Na świętego Marcina
idzie gęś do komina —
tak powiadają ludzie,
kiedy nastaje zima.

Dziś gęsi swoje gusty
zmieniły w każdym calu:
zimą siedzą w kawiarni
albo tańczą w lokalu.

O Marcinie przysłowie
lud jeszcze inne doniósł:
że święty Marcin zwykle
na białym jedzie koniu.

Dziś trzeba wnieść poprawkę
do porzekadła gminu,
bowiem na białym koniu
zwykł jeździć — wódz z Londynu.

Gdy Barbary na wodzie,
to w święta wręcz przeciwnie,
mówią ci, co przysłowiom
zawierzyli naiwnie.

Dziś inne obyczaje
ma męska zwłaszcza młodzież,
stąd święta są na wodzie,
a Barbary — na lodzie.

Dawniej na grudzień łyżwy
sposobiono i płozy,
bo zawiewało śniegiem,
często ścinało mrozem.

Dziś nic się nie zmieniło,
rzecz to jest oczywista,
bo zawiewa i ścina,
tyle tylko, że „czysta".



**Wiersza nie rozwiązywać!**

# KTO TO ZAMIEŚCIŁ?

Uważny czytelnik tygodników nie będzie miał trudności z rozwiązaniem naszego konkursu. Zadanie jest proste. Pod charakterystycznymi winietami stałych rubryk siedmiu tygodników zamieszczamy w parodystycznym sosie podane rozwinięcie króciutkiego opisu faktu. Oto fakt:

**Kowalski pożyczył koledze tysiąc złotych. Uczciwy kolega oddał mu całą sumę w umówionym terminie.**

Rozwiązanie polega nie tyle na odgadnięciu motywów jakie skłoniły kolegę Kowalskiego do tej niesłychanej decyzji, ile na odgadnięciu tytułów tygodników które o tym fakcie piszą. Rozwiązania na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres redakcji w terminie do 15 stycznia 1962 r. Na zwycięzców czekają cenne nagrody książkowe.

## Nowe wiersze UCZCI VOTA

*Uczciwość uczcivota*
*VO: TA mi uczci*
*Świętego Mironu*
*Karolu*
*Vota niosący*
*W cerkiewce zielonością*
*W zielono wra*
*Stają vota.*

*O świe, oświe*
*Oświeceni świętością*
*Uczciwość w nich wzrasta*
*To zielono co mówi*
*Na Mironu Karolu*
*W cerkiewcy zieleni*
*Z przerażenia*
*I śmiechu.*

## KRONIKA TOWARZYSKA

Pani Lula (nazwisko i adres znane redakcji) komunikuje, że na czwartkowych wódeczkach w jej apartamentach można spotkać popularnego ostatnio Karola zwanego „Oddałtysiąc".

* * *

Znany poeta Henio P. był ostatnio świadkiem niecodziennego zdarzenia w Klubie Dziennikarza. Ceniony powszechnie reporter Karol na oczach zdezorientowanego tłumu dokonał aktu przekazania zaciągniętej uprzednio pożyczki w wysokości 1000 złotych. W kołach dobrze poinformowanych twierdzi się, że akt ten nastąpił w planowanym terminie. Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje się do przyjęcia tomu wstrząsających poematów poety Henia P. opiewających to zdarzenie.

* * *

„Nieznajoma wielbicielka" umówiona z inżynierem Kowalskim przez telefon w kawiarni okazała się jego starym przyjacielem Karolem. Po wymianie zwykłych grzeczności pan Karol wyjawił pragnienie zdobycia drogiej popularności poprzez niezwykłe wyczyny. Jako pierwszy wyczyn zaproponował inżynierowi Kowalskiemu zwrot zaciągniętego u niego długu 1000 złotych. Obecni w kawiarni wierzyciele w liczbie 95 proc. ogółu stałych bywalców żywo zareagowali. Pan Karol czuje się lepiej.

* * *

Młody i popularny w kołach zbliżonych do „Słonia" socjolog Włodzio M. wyrachował, że społeczeństwo naszego grodu składa się w 98 procentach z dłużników. Obecnie Włodzio M. głęboko zastanawia się nad analizą losów pozostałej części mieszkańców Kominogrodu, którzy to są mu dotąd znani tylko ze słyszenia.

* * *

Nieśmiały chemik Jerzy Sz. wsławił się onegdaj sensacyjnym odkryciem. Odkrył w strukturze słynnego 1000-złotowego banknotu ślady par nowego pierwiastka. W uroczystości nadania nazwy nowemu pierwiastkowi wzięli udział między innymi pan Karol, inżynier Kowalski, zespół redakcji „Odgłosów" oraz 1000 złotych. Z tego ostatniego nie zostało ani śladu. Ze zrozumiałych względów celu spotkania nie osiągnięto.

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE

*KOWALSKI Z BĘDZINA.*

*— Nie ma Pan racji. Raczej łagodnie namawiać na wizytę u psychiatry. Środki radykalne mogą źle wpłynąć na i tak zachwianą równowagę psychiczną. W ostateczności można jeszcze zastosować kurację odwykową. Pyta Pan co zrobić, jeśli coś takiego się powtórzy? Sądzę, że ostrożność Pana jest zbyteczna. Wypadek jest raczej niesłychanie rzadki, a doznane przykrości nauczą zapewne Pana rozwagi w zawieraniu znajomości.*

*PAN KAROL Z BĘDZINA.*

*— „Fakt oddania przeze mnie pożyczki przyjacel przyjął w sposób znamionujący wielkie przeżycie psychiczne." I w dodatku przytacza Pan sumę tysiąca złotych! Oj, figlarzu, figlarzu, źle Pan trafił z tym dowcipem. Ja uważam się za realistę. Poematy prozą nic robią na mnie większego wrażenia.*

## Wiedzą nami

*Stała czytelniczka Violetta Villak z Tłuszcza k Warszawy pisze:*

*„Droga Redakcjo! Długo biłam się z myślami, zanim postanowiłam napisać do Ciebie. Poradź, droga Redakcjo, co mam czynić? Kolega mego narzeczonego imieniem Karol zwrócił mu pożyczone przed tygodniem tysiąc złotych. Narzeczony mój, który jest człowiekiem wierzącym i odkłada stale na PKO, tak się tym wzruszył, że do tych pór nie może przyjść do siebie. Robi mi propozycje odnośnie mego zamążpójścia za Karola. Kiedy się ja na to nie chcę mimo wszystko zgodzić, narzeczony chce, żebyśmy z mojego posagu odpisali Karolowi trzy morgi ziemi ornej. Na to jednak nie chce się zgodzić mój ojciec. Mówi, że lepiej znowuż pożyczyć Karolowi tysiąc złotych, ale obawiam się, że Karol tym razem ich nie weźmie. Poradź, Droga Redakcjo, co mamy zrobić w tej strasznej sytuacji, bo męczymy się okropnie. Pozostaję i oczekuję z głębokim szacunkiem Violetta.*

Droga Violetto! Sytuacja Twoja rzeczywiście nie jest łatwa. Wybór pomiędzy sercem a rozsądkiem był zawsze trudny. Zwracamy Ci uwagę, że ewentualne współżycie ze szlachetnie uczciwym Karolem może cię narazić na niejakie trudności materialne. Karol bowiem powodowany nałogiem szlachetnej, acz niepraktycznej uczciwości może ci utrudniać prowadzenie racjonalnej gospodarki finansowej. Narzeczony zaś, jako strona bierna w procesie pożyczania nie wydaje nam się najlepszym dla ciebie wyjściem. Głos rozsądku reprezentuje jedynie ojciec. Z oczywistych jednak względów trudno nam Ci cokolwiek sugerować. W tej sytuacji, radzimy Ci Droga Violetto, więcej otuchy i jaśniejszego spojrzenia w przyszłość.

Wczoraj w późnych godzinach wieczornych nieliczni przechodnie znajdujący się na ulicy Sienkiewicza w Będzinie byli świadkami niesłychanego zdarzenia. Do wracającego z południowej szychty rębacza Kowalskiego, ojca wieloletniej rodziny, energicznym krokiem zbliżył się krępy osobnik z podniesionym kołnierzem. Silne szarpnięcie niemal usunęło Kowalskiemu ziemię spod nóg. W mroku bramy do której podstępnie wciągnął go osobnik Kowalski rozpoznał swego kolegę Karola. Karol przemocą wepchnął mu do ręki dwa banknoty pięćsetzłotowe, zwracając w ten sposób dług sprzed tygodnia, po czym korzystając z oszołomienia Kowalskiego wskoczył do stojącej w pobliżu „Ify" i gwałtownie dymiąc z rury wydechowej odjechał w nieznanym kierunku.

FOTOGRAFA PRZY TYM NIE BYŁO

*Nie było przy tym również skromnie ukrytych pod pseudonimami autorów konkursu: ŁUW, de Jot, IBISA i MAW.*

WANDA ZAORSKA

# „SZEWCZE, PILNUJ KOPYTA"

Stańczyk, błazen króla Zygmunta Starego, ceniony przez współczesnych, dzięki swemu dowcipowi, rozumowi, prawości i patriotyzmowi dowodził, że najwięcej jest lekarzy — mając oczywiście na myśli lekarzy domorosłych. Udowodnił to, owinąwszy sobie twarz chustą, chodząc po Krakowie i zbierając recepty od takich właśnie znawców medycyny.

O ile tego rodzaju zjawisko można było zrozumieć na przełomie XV i XVI wieku, to wiek XX ze swoją daleko posuniętą specjalizacją, mimo ogólnego podniesienia nauki przeciętnego człowieka — zjawisko to winien ograniczać coraz bardziej.

Niewątpliwie pedagogika, to jest nauka o wychowaniu i nauczaniu, posiadająca za sobą tradycje wielu wieków, — jest nauką bardzo skomplikowaną i musi opierać się na wiedzy książkowej oraz na dużym doświadczeniu. Wiemy, że wszelkie wartości społeczne człowieka mają początek we właściwym jego wychowaniu. Od najdawniejszych czasów z tego też powodu społeczeństwo otaczało wysokim szacunkiem swych pedagogów — wychowawców młodego pokolenia. Jak trudny jest to zawód, wiemy dobrze wszyscy i przysłowie ludowe „abyś cudze dzieci uczył" — podkreśla lapidarnie pełną poświęcenia pracę nauczyciela.

Jak trudna zaś była ta praca w okresie powojennym, obserwowaliśmy wszyscy. A bywały wypadki, iż ludzie niedoświadczeni, bez nauki, poczęli udzielać wskazówek doświadczonym pedagogom. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że na skutek doraźnych poczynań — doradcy ci nie brali odpowiedzialności, bo skutków nie umieli przewidzieć. Z prawdziwym smutkiem czytałam artykuł pt. „Dziwna sprawa — czyli prawo do amnestii" („Odgłosy" nr 48).

Niewątpliwie autorka przeżywa silne emocje związane z niewłaściwym zachowaniem się paru dziewcząt X klasy. Jednak emocje te zasłoniły właściwy obraz. Uwagi i porównania przytoczone w artykule bez podawania konkretnych dowodów czy źródeł, nie mogą stanowić podstawy do właściwej i głębokiej analizy wydarzenia. W żadnym zaś wypadku nie można go porównywać ze sprawą sądową, nie można tu mówić ani o „wyroku", ani o „akcie oskarżenia".

Skoro zaś mowa o tym porównaniu, to autorka winna wiedzieć, że postępowanie, dotyczące nieletnich, właśnie z uwagi na „płaszczyznę dydaktyczno-wychowawczą" — jest otoczone tajemnicą dla osób postronnych, a tym bardziej gdy chodzi o okoliczności tak intymne jak te, które rozgłasza autorka, odnoszące się do dziedziny życia seksualnego. Oczywiście artykulik zrobił swoje. Stanowi sensacyjną, więcej niż kryminalną lekturę dla naszych dzieci, które nie mając własnego poglądu na rzecz, są bardzo często w opozycji do tych, którzy zmuszają ich do pracy i nauki. Widzą one duchowe przewodnictwo, wynikające z artykułu. Przewodnictwo to przecież lekko, z przymrużeniem oka, dobrotliwie gani ich błędy, chłoszcząc niemiłosiernie walczącego w dobrej sprawie pedagoga.

Jest to oczywiście wygodna pozycja. Zapytać jednak należy — czy byłaby to pozycja tej większości matek, które wychowują i chcą wychować swe córki należycie i nie chcą wobec tego, aby ich dzieci podlegały złemu wpływowi koleżanek wagarujących, nie uczących się, palących papierosy, poszukujących niewłaściwych przeżyć na schodzkach z chłopcami, itp., i które ponadto uważają, że zmiana otoczenia dla takich dziewcząt może okazać się korzystna i zapobiec dalszemu złemu ich postępowaniu! Oczywiście, tego rodzaju refleksje mogą nie być znane autorce, jeśli zważy się, że nie jest ona matką dorastającej córki i nie wnika w trudności prowadzenia dziewczynki w wieku 16 lat — w okresie, kiedy ma ona przeświadczenie, iż za 2 lata będzie pełnoletnią ustawowo, a równocześnie nie rozumie, że obok praw wkrótce spadną na nią obowiązki.

Autorka zapytuje „czyżby chodziło o zasadę — wychowywać równa się karać"?

Chyba co do tego nie powinno być wątpliwości, że wychowanie pociąga za sobą obok wynagradzania za dobre uczynki karanie za złe uczynki. Czyny popełnione przez dziewczęta niewątpliwie silnie naruszyły regulamin szkolny, stanowiący dla szkoły swoisty kodeks. Dlatego też łzy krokodyle, wylewane przy tej okazji, stanowią jad zatruwający duszę młodzieńczą z jednej strony, z drugiej zaś strony stwarzają przeświadczenie minimalnej odpowiedzialności za przewinienia własne. Pamiętać przecież należy, że już z chwilą ukończenia 17 lat życia, w zakresie prawa karnego nieletni odpowiada jak dorosły.

Znany jest również z prasy wyrok, w którym chłopców w wieku około 18—19 lat skazano na kary 9 lat więzienia za czyny nierządne z nieletnimi. Niewielka różnica wieku, a jakaż różnica odpowiedzialności. Przyczyną lekkomyślność, której w odpowiednim czasie nie powstrzymała mądra ręka wychowawcy. Nie uważam, aby w obecnych czasach przez usunięcie z jednej szkoły, chcącej się uczyć dziewczynie zamknięto drogę do nauki w innej szkole. Rzecz w tym, że konkretnie nie było zainteresowania nauką, a zainteresowania poszły w kierunku przedwcześnie romansowym, w kierunku przedwczesnego wyżycia się, nałogów itp.

Wbrew temu, co twierdzi autorka, uważam, że tylko silny wstrząs, zmuszający do rozmyślań nad swoją przyszłością i błędami może spowodować w dziewczętach radykalną zmianę, której niewątpliwie pragnęli wychowawcy. Czy autonka wie na pewno, że szkoła przed tym nie stosowała innych, łagodniejszych środków?

Szkoda, że autorka, tak silnie ganiąc wychowawców, nie potrafi wskazać innej, lepszej drogi.

Czyżby „metoda" — zastosowana przez autorkę była lepsza, wobec opublikowania nie znanych ogółowi szczegółów życia osobistego i czyżby dowodziła o delikatności uczuć?

Mówi się „etykietka zatraciła charakter anonimowy, przeszła na własność opinii publicznej. Epitety będą gonić pod publicznie wskazany adres za 6 dziewczętami". Jeśli tak się stało, to wyłączna to zasługa omawianego artykułu. Ponieważ nie mam przeświadczenia, iż artykuł zawiera obiektywne ustalenia, gdyż autorka opierała się na wyjaśnieniach dziewcząt — przeto trudno jest dać wiarę, aby bez potrzeby wzywany był milicjant itp. Gdyby jednak tak było, to przecież nawet przy stwierdzeniu pewnych niedokładności istnieje inna droga, którą nakazywał zastosować rozsądek, dobro młodzieży, wychowania i nauki, w imię tej dobrej „metody" — o której się tak dużo mówi w artykule.

Są przecież władze szkolne, jest kuratorium, są wspaniali wychowawcy i do nich należało wystąpić w sposób właściwy. Myślę, że autorka nie była aż tak nieświadoma tego. Jak widać z tego wszystkiego ,chodziło tutaj głównie o efekciarstwo artykułu, bez względu na skutki.

Dziękujemy za subtelne podkreślenie na końcu artykułu, że autorka nie robi z tych dziewcząt „bohaterek". Nie ma co do tego obawy, abyśmy się mieli pomylić w tym względzie co do intencji autorki.

Jednak zauważyć należy, że za „bohaterki" uważają się dziewczęta, o których mowa, wobec poruszenia wywołanego ich sprawą — co do której bezpodstawnie przesądza się, iż nie może być amnestii.

Jak wiadomo amnestia zawsze pochodzi od czynników, nadrzędnych w stosunku do tych czynników, które wydały wyrok nawet prawomocny, a więc obawa przedwczesna.

Jaki jest oddźwięk wspomnianego artykułu, widzimy z następnego artykułu „Ogłosów" pt. „Śledź i kapelusz". Namiętna i nie uzasadniona nienawiść, wynikająca z błędnej informacji, przekracza wszelkie granice.

Jak można pod adresem dobrze zasłużonych w Polsce Ludowej kadr nauczycielskich używać zamiast dyskusji słów zdecydowanie obelżywych i porównywać ich z wychowawcami „carskich szkół rusyfikatorskich". Nie wystarczy tutaj zasłaniać się „Syzyfowymi pracami" — Żeromskiego. Trzeba pamiętać, że ten wielki pisarz i wychowawca narodu, autor wielu wspaniałych książek, chce widzieć w Wolnej Polsce — młodzież wykształconą, przygotowaną do pracy, świadomą obowiązków, zasługującą na szacunek, szanującą innych i wskazuje właściwe metody ku temu. Metody stosowane przy pasieniu gęsi, znane autorowi i poszukiwanie u nich rozumu mogą wystarczyć dla niego, ale nie są wystarczające dla wychowania młodego pokolenia i rozwiązania problemu wychowania. „Pilnuj szewcze kopyta" — rzekł Matejko do szewca, który ośmielony uwzględnieniem jego uwagi odnośnie defektu, dotyczącego buta na obrazie mistrza, chciał czynić dalsze uwagi, mające na celu poprawę obrazu.

Wychowanie to wielki artyzm — nie mniejszy jak malarstwo Matejki. Nie przeszkadzajmy, a pomagajmy w wychowaniu!

JAN HUSZCZA

# Nawiązując do tradycji...

Zbliża się okres świąteczno-noworoczny! Znowu buchalterzy i naczelnicy wpadną w panikę: na co wydatkować w ostatniej chwili pieniądze, którymi przed końcem roku dysponują ich instytucje oraz przedsiębiorstwa?

Przyjęło się, aby wydać je m. in. na kosztowne ogłoszenia w prasie, w których przesyła się jak najlepsze i najserdeczniejsze życzenia petentom, interesantom, klientom i kooperującym zakładom.

Nie sądzę, aby w tym roku nagle odstąpiono od tej młodej, ale jakże odpornej na krytykę, tradycji! Chciałbym więc zgłosić jedynie skromną poprawkę. Niech te ogłoszenia będą mniej zdawkowe i konwencjonalne, ściślej zaś związane z życiem i jego prawdą.

Dlatego więc pozwalam sobie — dla zilustrowania poprawki — przytoczyć kilka propozycji wzorcowych. Oto one!

**Z okazji Świąt spółdzielnia usługowa „UNIWERSALNA" życzy swoim Szan. Klientom, aby nigdy nie musieli korzystać z jej usług!!!**

**Państwowe Przedsiębiorstwo „MEBLE" przesyła najlepsze życzenia przedsiębiorstwom: „METAL", „NYLON" oraz „DREWNO" i przy okazji przypomina im, iż dotąd nie dostarczyły potrzebnych do produkcji, a przewidzianych w umowie, detali i półfabrykatów.**

**Z powodu nadchodzących Świąt i Nowego Roku restauracja-dancing „PANORAMA" ostrzega P. T. KONSUMENTÓW przed swoimi daniami mięsnymi! „PANORAMA" poleca najwyższe ceny!**

**Zasyłamy Najmilszym Klientom życzenia noworoczne, jednocześnie przypominając, iż wyjątkowo ordynarną obsługę można znaleźć jedynie u nas. MIEJSKIE SKLEPY DROGERYJNE „REMANENT"**

**Większej pogody ducha przy załatwianiu spraw, cierpliwości w czekaniu na odpowiedź, wytrzymałości w kolejkach życzy na rok przyszły PREZYDIUM MRN w .....**

odpowiedź redakcji:

# Dyskusja oznacza wymianę poglądów

Tak właśnie pojmujemy dyskusję. Dlatego, licząc się z rozmaitymi opiniami ogłosiliśmy wokół „Dziwnej sprawy" swobodną i demokratyczną dyskusję, wierząc, że doprowadzi ona do nowych spostrzeżeń i — da Bóg — wniosków w trudnej dziedzinie wychowania.

Z tego, co dotąd publikowaliśmy wynika, że chodzi nam o uchwycenie wzajemnych związków pomiędzy trzema elementami układu wychowawczego: szkołą, rodzicami i młodzieżą. Jak one funkcjonują, jak współdziałają, dobrze czy źle, co nowego trzeba proponować — oto pytania pod adresem dyskutantów.

Tymczasem pewna część otrzymywanych przez nas korespondencji uporczywie nawiązuje tylko do zdarzenia, które stanowiło punkt wyjścia w dyskusji, zajmuje się badaniem procentów prawdy w artykule Ewy Ostrowskiej lub wręcz odmawia nam prawa do dyskusji, ze względu na to, że to źle działa na młodzież. Podobnie wypowiedź pani Zaorskiej, którą powyżej przedrukowujemy w całości, sugeruje już samym tytułem „Pilnuj szewcze kopyta", że nie może być u nas opinii wspólnej wszystkim, a są tylko opinie profesjonalne — szewców krawców, inżynierów i docentów.

Sprawę samego incydentu uważamy za wyczerpaną, gdyż pani Zaorska bez wątpienia wyjaśnia wszelkie ewentualne przeoczenia, jakie popełniła autorka artykułu „Dziwna sprawa". Przyjmujemy też bez zastrzeżeń zarzuty pani Zaorskiej, stawiane zresztą w wyjątkowo kulturalnej formie.

A teraz jeszcze kilka słów na temat, co wolno i czego nie wolno.

Tygodnik nasz posiada pewne skromne doświadczenie w zakresie inspirowania i prowadzenia dyskusji o młodzieży. Mamy za sobą już kilka dyskusji o rozmaitych aspektach wychowania i nauczania, mamy w tym zakresie jaki taki dorobek, osiągnięty zresztą przy pomocy znanych w naszym mieście wychowawców, publicystów i po prostu zwykłych ludzi, którzy słusznie uważali, że wychowanie jest sprawą społeczną, a nie wąsko profesjonalną.

Mówiono prawdy gorzkie nie tylko pod adresem młodzieży, ale również domu rodzicielskiego i szkoły i nikomu na myśl nie przyszło, że dyskutowanie pomyłek wychowawców oznacza np. przekreślenie dobrych tradycji polskiego nauczycielstwa. Dyskutowaliśmy tak zawsze i teraz także pozwoliliśmy sobie przedstawić sprawę pod dyskusję na zasadzie wolnej trybuny, bez ograniczenia niczyich kompetencji według cechy rzekomo miarodajnej — jesteś matką (ojcem), wychowawczynią (wychowawcą) dorastających córek (córki) możesz dyskutować, nie jesteś — pilnuj kopyta. Jak pisał u nas znany pedagog docent Aleksander Kamiński (Odgłosy nr 11/1960), ... czyż publicysta może uczynić więcej, niż wykryć i powierzchownie opisać typ klęski społeczno-wychowawczej. Skoro publicysta nie — to kto? Jak?" Docent Kamiński nie odsyłał nas do „szewskiego kopyta".

Wiadomo, że nikt nie próbuje ograniczać kompetencji publicysty, jeżeli w prasie porusza on sprawy przydziału mieszkań, działalności prezydiów RN, jeżeli krytykuje lub wykazuje się błędy czy niedociągnięcia radnych, adwokatów, lekarzy, kelnerów, posłów, taksówkarzy i ministrów — słowem można o wszystkim i o wszystkich — byleby tylko nie zawadzić wychowawców. Jest to postawa bardzo już anachroniczna, wielu doświadczonych nauczycieli już wcześniej zgodziło się z nami co do szkodliwości chowania głowy w piasku. Wielu znanych pedagogów, ludzi jak najbardziej kompetentnych i „douczonych" wypowiadało się na łamach naszego tygodnika i chyba nieprzypadkowo manifestowali oni stanowisko, pokrywające się z naszym. Nazwisko prof. Stanisława Lipko, jako cenionego pedagoga i działacza oświatowego nie obce jest przecież pani Zaorskiej. Otóż prof. Lipko zamieścił u nas artykuł pod tytułem APOSTROFA DO DOROSŁYCH („Odgłosy" nr 14-110), gdzie w podrozdziale: RZECZ O KOWADŁACH CZYLI NIE SZTUKA UCZYĆ, A SZTUKA NAUCZAĆ, między innymi pisze: „... Należy uderzyć się we własne piersi i trzeba szybko podnieść kulturę podstawowych elementów nauczania i wychowania". „Czyli nie sztuka uczyć, a sztuka nauczać... (—) prosi się uwaga i o wychowaniu. Każda lekcja i czynność szkolna wychowuje. Ale wtedy, jeśli jest ona prowadzona z taktem pedagogicznym. Obowiązuje on wychowawców, zwierzchników, rodziców, społeczeństwo. A z tym nawet w szkole bywa rozmaicie..."

Tak pisał doświadczony pedagog, któremu przecież nie można zarzucić „kultu niekompetencji" ani „nieumiejętności w przewidywaniu skutków".

Wspaniałych wychowawców doceni każdy, co jednak począć z tymi, którzy nie są „wspaniałymi"? Milczeć? Czy należy milczeć, by w gruncie rzeczy pozwolić im w dalszym ciągu na podważanie autorytetu nauczyciela?

Wizytator Kuratorium Łódzkiego, prof. Siegel „Odgłosy" 18-114) zamieścił wypowiedź pod znamiennym tytułem — „UCZEŃ WIEKU ATOMOWEGO, SZKOŁA EPOKI KAMIENNEJ". Nie będziemy już cytowali zawartych w tym artykule myśli, wszystkich zainteresowanych odsyłamy do wyżej wymienionego numeru „Odgłosów".

Przypominamy jednak jeszcze inną wypowiedź, prof. Brockiego, który pisał („Odgłosy" 19/115): „To my, starzy łgarze, spróbujmy najpierw zmienić aktualną atmosferę, w której żyje i wzrasta młodzież, a później żądajmy od naszych dzieci, uczniów, wychowanków... uczciwości, prawdy i postępowania zgodnego z potrzebami moralnego społeczeństwa".

A obok „speców" dyskutowali ludzie zwykli — o zgrozo — nawet robotnicy, bo im także wydawało się, że wychowanie jest sprawą ogólnospołeczną. I nikt nie pomyślał, że podważa autorytety, lub gorszy maluczkich.

Wydaje się nam więc, że społeczeństwo od dawna już dorosło do przeprowadzania i uczestniczenia w dyskusji.

Dlatego nie będziemy już więcej powracać do kwestii, co nam wolno, czego zaś nie.

Dyskusja trwa. W najbliższych numerach postaramy się omówić aktualne problemy współczesnej szkoły i podać pod rozwagę sposoby ich rozwiązywania. Postaramy się również znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie są granice „wolności" dla naszej młodzieży, jej sądów o społeczeństwie, jaki powinien być udział młodych w wychowaniu.

*Na gwiazdkę*

# „REWIA GWIAZD"

Bogaci doświadczeniami wolimy nie wypowiadać się bliżej na temat programów, które zapowiadamy. Bez jakichkolwiek prognostyków donosimy tedy, że w najbliższym czasie — ściślej we wtorek 26 bm. o godz. 16.35 Łódź zaprezentuje program lalkowo-parodystyczny pod tytułem „Rewia gwiazd".

Wykonawcami będą aktorzy PTL „Arlekin" i PTL „Pinokio", a obok nich takie sławy jak **Lucienne Boyer, Marlena Dietrich, Ludwik Sempoliński, Louis Armstrong, Yves Montand, Eartha Kitt, Marylin Monroe, Bing Crosby, Mieczysław Wojnicki, Fred Astaire, Elvis Presley, Bracia Jacques** i wiele innych postaci ze świata muzyki, estrady i filmu.

Niektórych bohaterów programu przedstawiamy w ich naturalnej postaci (oczywiście gwoli porównania).

U góry po lewej widzimy **braci Jacques** — archiwalne zdjęcie z okresu ich występów w Polsce.

Po prawej **Gene Kelly** — znakomity tancerz amerykański. Zdjęcie pochodzi z występu w telewizji francuskiej.

Obok po prawej — **Marlena Dietrich**, „najpiękniejsza babcia świata".

Po lewej — **Fred Astaire**, słynny stepista starszego pokolenia (jak ten czas leci...)

Na zdjęciach u góry: oczywiście **Louis Armstrong** (ten z trąbką) i oczywiście **Elvis Presley** (ten z gitarą).

Obok po lewej **Yves Montand** w towarzystwie protegowanej Kydryńskiego — **Dalidy**. Dalida zresztą mimo to nie wystąpi.

Po prawej **Marylin Monroe** — gra i śpiewa.

## Mauriac o Munku i telewizji

Jak podaje „Express Wieczorny", telewizja francuska uczciła pamięć Andrzeja Munka wyświetleniem jego „Eroiki". Film poprzedzony został wywiadem, który jedna z dziennikarek francuskich przeprowadziła z Munkiem w kwietniu br. Francois Mauriac tak relacjonował to wydarzenie na łamach „Figaro Litteraire":

*„Eroica", film polskiego filmowca Munka, był bez dubbingu mało zrozumiały, przynajmniej na moim telewizyjnym ekraniku. Ale to co poprzedzało film, miało w sobie wiele patosu: był tam sam Munk, odpowiadał na pytania, on, który zginął przed paroma tygodniami w wypadku samochodowym. Słuchaliśmy go żywego, pełnego planów na przyszłość. Byliśmy jak bezsilni bogowie: znaliśmy jego los i nie mogliśmy mu przyjść na ratunek. Dla widzów telewizyjnych nie ma w tym nic zwykłego, ale ja — nie mogę się do tego przyzwyczaić.*

*Ci subtelni, którzy pogardzają telewizją, nie wiedzą, że ze wszystkich wynalazków tych szatańskich czasów ten właśnie wynalazek jest najbardziej wstrząsający; pozwala nam widzieć śmierć z bliska, każe nam patrzeć prosto w słońce, bez ciemnych okularów."*

## PROGRAM na najbliższe dni

**CZWARTEK, 21 BM.**

17.35 — Program dnia (Ł. lok.). 17.40 — „Porady praktyczne" (Ł. lok.). 17.55 — Program dla dzieci i młodzieży: 1. Młodzieżowa Kronika Filmowa, 2. Wywiad z ciekawym człowiekiem (W). 18.30 — „Poletko pana Polaka" — program z cyklu: „O wsi dla wszystkich" (W). 19.00 — „Znak Zorro" — odc. IV filmu prod. USA (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Noworoczne remanenty" — program Tadeusza Kolińskiego z cyklu: „Fakty i poglądy" (W). 20.35 — PKF (W). 20.45 — Teatr „Kobra": „Mistyfikacja" — widowisko sensacyjne Henryka Blumredera. Reżyseria — Paweł Komorowski. Scenografia — Józef Krupa. Oprac. muz. — Metody Ogórek (Katowice). 21.55 — Ostatnie wiadomości (W).

**PIĄTEK, 22 BM.**

17.15 — Program dnia (Ł. lok.). 17.20 — „Śladami Pitagorasa" — teleturniej matematyczny (W). 17.50 — Program z cyklu: „Sonaty Beethovena" w opracowaniu Bolesława Woytowicza (Kat.). 18.25 — „Littera docet, littera nocet"—młodzieżowy program publicystyczny wg scenariusza Czesława Sandelewskiego (W). 18.55 — Antykwariat Wszechnicy Telewizyjnej (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Żołnierze bez munduru" — program Karola Lubelczyka z cyklu „Kartki z naszej historii" (W). 20.30 — „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 21.00 — „Olimpijskie wrażenia" — film prod. polskiej (Ł. lok.).

**SOBOTA, 23 BM.**

16.45 — Program dnia (Ł. lok.). 16.50 — „Podróże Guliwera" — film fab. (rysunkowy) prod. USA dla dzieci (W). 18.15 — Program dla dzieci: „A co dalej" — rozmowa o książkach dla najmłodszych (W). 18.30 — Program tygodnia (W). 18.45 — Program tygodnia (Ł. lok.). 19.00 — Utwory Fryderyka Chopina w wykonaniu Haliny Czerny-Stefańskiej (Kr.). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Dziewczęta z Nowolipek" — film fab. prod. polskiej (archiwalny) (W). 21.40 — Teatr TV: „Zemsta" — komedia Aleksandra Fredry. Reżyseria Adama Hanuszkiewicza (W).

## Tajemniczy komentarz

W przedostatnich „Spojrzeniach i opiniach" (z piątku 8 bm.) red. Szuster mówił we wstępnym komentarzu o sprawach t. zw. chałtury, wspomniał nawet, że po województwie koszalińskim grasuje ponoć grupka samozwańczych „artystów łódzkiej telewizji" i tak dalej i tak dalej. Komentator przyobiecał również, że dzisiejszy magazyn — w znacznej części poświęcony sprawom t. zw. terenu — nawiąże w jakiejś mierze do tych istotnych i drażliwych spraw.

Niestety, z tym nawiązaniem było jakoś nijako — pokazano co prawda zdjęcia z konkursu tańca towarzyskiego, ale nie wydaje się nam, by chodziło właśnie o to? Więc?... Jakiż zamysł szatański tkwił we wstępnej zapowiedzi, jaka pułapka i na kogo została zastawiona?

Chyba, chyba („strach mnie bierze" — że zacytujemy Fredrę) że chodziło o liczbę 80 telewizorów, jaka padła przy wyliczaniu dostatków miasteczka Zychlina...

# TŁUSTE DNI ŚWIĄTECZNE

Kto wyjedzie, ten wyjedzie, kto będzie składał wizyty, no to będzie składał, ale niewątpliwie pokaźna część telewidzów będzie spędzać święta przy suto zastawionym stole i przed włączonym aparatem.

Stąd i wysiłek telewizji, aby program świąteczny był możliwie bogaty i różnorodny. Zwracamy uwagę na niektóre pozycje, dodając niestety przy okazji, że nie wszystkie są jeszcze ostatecznie zafiksowane, tak że to czy owo — szczególnie jeżeli chodzi o pozycje filmowe — może ulec zmianie.

I tak w **SOBOTĘ 23 bm.** możemy liczyć na dwie interesujące pozycje filmowe i jedną teatralną. O 16.50 telewizja nada przygodowy film dla dzieci i młodzieży — „Podróże Guliwera", natomiast o 20.00 słynny film z okresu międzywojennego — „Dziewczęta z Nowolipek", wg powieści Poli Gojawiczyńskiej pod tym samym tytułem. W „Dziewczętach z Nowolipek" grają m. in. **Mieczysława Ćwiklińska, Elżbieta Barszczewska i Jadwiga Andrzejewska** — wszystkie o te parę lat młodsze...

O 21.40, a więc niemal bezpośrednio po filmie, z Warszawy spektakl zawsze młodej „Zemsty" Fredry w reżyserii **Adama Hanuszkiewicza.**

W **NIEDZIELĘ 24 bm.** o godz. 14.25 przygodowy film angielski „Skrzynki na start", o 16,30 Disneyland, o 17.45 z Łodzi „Sonety Szekspira" w reżyserii **Jerzego Antczaka**, o 20.15 znakomita angielska komedia filmowa „Szlachectwo zobowiązuje" i o 22.00 program rozrywkowy z cyklu „Raz, dwa, trzy" zatytułowany „Jak to miło..."

A więc, niemal bez wyjątku, pozycje rozrywkowe.

Na **PONIEDZIAŁEK 25 bm.** przygotowano dwa kolejne filmy dla młodzieży — „Wędrowne wakacje" (o 14.55) i „Syn Robin Hooda" (o 15.55).

O 17.25 jest w planie transmisja „Wesołej wdówki" Lehara z operetki gliwickiej, oczywiście przez Katowice. Następnie Tele-Echo, o 20.45 film produkcji angielskiej „Zadanie dla Georga" i wreszcie o 22.00 widowisko oparte na słynnej powieści Dickensa, a zatytułowane „Pan Pickwick w tarapatach". Wyborna obsada z **Jackiem Woszczerowiczem** (pan Pickwick) i **Czesławem Wołłejko** na czele. Zresztą aż rojno od wielkich nazwisk.

**WTOREK 26 bm.** — przynajmniej pod względem filmowym — nieco uboższy. O 13.15 baśniowy film produkcji jugosławiańskiej „Czarodziejski miecz", o 15.45 kolejny „Disneyland" — tym razem „Przygody psa Pluto", o 16.35 program rozrywkowy z Łodzi zatytułowany „Rewia gwiazd" (piszemy o nim na innym miejscu) i wreszcie kolejna lekcja z cyklu „Dobre uczynki Wojciecha Ozdoby" z **Wojciechem Siemionem** w roli tytułowej.

Życzymy dobrego odbioru!

TELE wizja

ZBIGNIEW NIENACKI

# Worek Judaszów

Nie zrzucili mnie tu dla twoich pięknych oczu. Chcesz, możemy się razem przespać. Naprawdę jednak ja tu mam co innego do roboty, Jak z tobą spać i ratować twojego Rokitę. Zamkną cię i na śledztwie przede wszystkich sypniesz mnie i moje sprawy. Nie, nic się ode mnie nie dowiesz. Ja także o nic nie chcę cię pytać.

— A jednak pytałeś. Chciałeś wiedzieć kto w UB pracuje dla Rokity. To właśnie obudziło moją nieufność.

Wzruszył ramionami. Dotknęła palcami jego nagiego ramienia, delikatnie pogładziła jego szyję. Irytowały go te pieszczoty. Wiedział, że jest przystojnym mężczyzną i, że podoba się kobietom. Ale wydawało mu się, że ona traktuje go jak głupca, który da się nabrać na jej pieszczoty i zacznie głędzić o swoich sprawach. Takie rzeczy podobno działy się na filmach.

— Nie bądź taka Mata Hari — rzekł.

Cofnęła rękę.

— Nie przypuszczałam, że jesteś cham...

— Nie mieli czasu mnie wychować.

— Chcesz jeszcze wódki?

— No pewnie — skinął głową.

Wypili. O szyby malutkiego okienka brzęczały krople ulewy. Alkohol rozgrzał Alberta, cela klasztorna wydawała mu się już prawie przytulną.

— Przybyłeś z Tamtąd. Powiedz mi, co oni myślą dalej robić. Z nami.

— Nie wiem. To mnie nie obchodzi. Ja tylko wykonuję rozkazy.

— Nie wiesz? — wybuchnęła. — Więc kto o tym wie? Kto może mi odpowiedzieć, co będzie dalej z nami?

— Sądziłem, że ty wiesz najlepiej...

— Dawniej wiedziałam. W każdym razie wydawało mi się, że wiem. Wówczas żył Perkun, mówił, że trzeba walczyć. Teraz nic już nie wiem. Jedno jest pewne: nie zaprzestaniemy walki dopóki będą tu rządzić ludzie opłacani przez Moskwę. Komuniści.

Albert ziewnął:

— Domyślasz się chyba, że nie zamierzam agitować cię za komunistami. Ale ty ich nie znasz. Zupełnie ich nie znasz. Gdyby brali pieniądze z Moskwy, możesz być pewna, że Rokita nie musiałby stąd uciekać. Zresztą — ziewnął głośno — czy nie możesz zmienić płyty?

— Dobrze — zgodziła się. — W takim razie powiedz czy rzeczywiście Inteligence Service jest aż tak potężne. Rokita twierdzi, że całymi latami potraficie cierpliwie pracować nad tym, żeby waszego człowieka wprowadzić na jakieś ważne stanowisko. Grzebiecie w przeszłości różnych ludzi i potem pod groźbą szantażu zmuszacie ich do pracy dla was.

— Rokita naczytał się głupich broszurek. Ale to nie szkodzi.

— Ach — westchnęła. — Aż dziwnie pomyśleć, że są takie kraje, jak Anglia, gdzie wojna naprawdę się skończyła. Tam można iść na spacer do lasu i nie myśleć, że cię zastrzelą...

— Tu też będzie spokojnie. Za rok, za dwa... — mruczał ledwo opanowując ogarniającą go senność.

— Idziesz? — ocknął się ze snu.

— Idę — powiedziała od drzwi. — Pomyślałam, że nie potrafiłabym się z tobą położyć do łóżka.

— Dlaczego?

— Bo nie znam twojego prawdziwego imienia. Spać z kimś i nie wiedzieć nawet, jak ma naprawdę na imię?

— Masz dziwną moralność. Pęknąć można ze śmiechu — rzekł.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi. I zaraz mocno zasnął.

* * *

Nazajutrz o dwunastej w południe Albert wysiadł z pociągu na Dworcu Głównym w Warszawie i poszedł spotkać się z człowiekiem, którego nazywał pułkownikiem Johnsonem. W cztery godziny później przebrany w mundur majora Wojska Polskiego pędził szosą w stronę R. prowadząc samotnie wielkiego ciężarowego „Zisa" ze znakami Czerwonego Krzyża.

Do R. przyjechał w samo południe. Wstawił samochód na podwórze koszar wojskowych, a później odwiedził zakład krawiecki pani Francois Ligęzy i przekazał jej kartkę dla Rokity. Następnie — jak mówią akta, które w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych noszą nazwę „Sprawa kryptonimu „Kryształowe Zwierciadło" — major C 25 wypił w cukierni dwie duże kawy i zjadł kilka ciastek".

Po drodze do willi majorowej Raczyńskiej, gdzie po raz ostatni zamierzał spędzić noc — zajrzał Albert do szefa Jarugi. Wymienili ze sobą zaledwie kilkanaście zdań. Na odchodnym Albert trącił się palcem w czoło, przypominając sobie o jakiejś ważnej sprawie:

— Mówiliście mi kiedyś szefie o tajemniczym zniknięciu jednego z waszych agentów. Czy to chodziło o portiera z tutejszego hoteliku?

— Mniej więcej... — niechętnie przytaknął Jaruga.

— Zainteresowałem się tą historią. Otóż ten portier siedzi u nas w Warszawie. Aresztował go porucznik Mikołaj L., no wiecie ten zastrzelony. Jak tylko zlikwiduję swoje sprawy, natychmiast postaram się o zwolnienie waszego człowieka.

— Oddał nam nieocenione usługi. Czy mieślicie jakieś podstawy, żeby go aresztować?

— Nie, zdaje się, że nie. To chyba była omyłka — z ubolewaniem stwierdził Albert.

Potem wrócił do willi majorowej Raczyńskiej.

Zamknął się w swoim pokoju z oknem wychodzącym na ogród i białe brzozy okryte świeżą zielenią. Czekając na znak od Rokity, z nudów jeszcze raz przerzucił notatki profesora Ramuza.

Romuz odnotował kilkanaście opinii, jakie o zdrowiu Batorego aż do ostatniej jego chwili, mieli ludzie z najbliższego otoczenia króla. Śmierć Batorego zaskoczyła wszystkich. Opinie były całkowicie sprzeczne. Stwierdzono, że aż do śmierci cieszył się król najlepszym zdrowiem, to znów, że trapiła go wciąż jakaś nieuleczalna choroba, ropień na goleni. Śmierć króla pozostawała zagadką. Nie istniały jednak dane, aby łączyć ją z pobytem Dee i Kelleya. Historycy jakoś nie bardzo kwapili się z wyjaśnieniem tej tajemnicy, choć w historii o wiele łatwiej wyjaśnić to, co było zagadką dla ludzi ówczesnych.

— Tak będzie chyba z nami — pomyślał Albert. — Tylko czy przyjdzie komuś kiedykolwiek ochota wyjaśnić śmierć takiego Krychniaka lub Rokity?"

W Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w twardych okładkach grubych segregatorów, spośród setek bibułkowych odpisów telefonogramów zawiadamiających o morderstwach i napadach oddziałów Perkuna i Rokity, małe pożółkłe karteluszki meldunków mówią o majorze C 25, który opracował pomysł podrzucenia spadochronu i zaofiarował się pojawić w R. jako „skoczek". Wśród czyściutko i schludnie przepisanych na maszynie doniesień agenturalnych, na wyrwanej z zeszytu podwójnej kartce można znaleźć wyrysowany plan kilku uliczek. Małymi kwadracikami zaznaczone są gmachy PUBP i PPR, kolorowe strzałki wskazują kierunek napadu Rokity owej pamiętnej nocy, gdy zginął Krychniak. W dużej kopercie spiętej uchwytem segregatora leży kilkanaście zdjęć. Oto amatorska fotografia żałobnej mszy polowej tuż obok dołu, z którego wydobyto zwłoki dziewięciu ludzi Rokity, rozstrzelanych z wyroku Sądu Wojskowego. Na pierwszym planie ksiądz odprawiający mszę, a dalej klęczący Rokita w mundurze, z wojskową czapką w ręku. Obok niego długi szereg żołnierzy jego armii: stoją skupieni, poważni, przejęci uroczystością. Oto fotografia Anastazji z poetyczną dedykacją od Perkuna: „Kocham Cię — bo przypominasz rozkwitły kwiat wiosny, bo jesteś jak melodia polskiej ziemi, jak jej żywioł, jak jej udręki, jej zawołania, jej żale i jej nadzieje". Ze zdjęciami sąsiaduje doniesienie agenturalne podpisane „Lelek nocny", wzmianka, gdzie będzie nocował Perkun i jego sztab. Potem już tylko odpis wyroku sądowego poprzedzony tomem protokołów przesłuchania. I znowu meldunki o zabójstwach dokonywanych przez Rokitę, sprawozdania z akcji i potyczek staczanych przez UB i KBW. Między kartkami długie listy zabitych przez Perkuna i Rokitę komunistów, i sympatyków PPR, płacze się wiersz napisany być może przez poetę leśnego oddziału:

*„Było zimno...*
*Na śnieżnym obrusie polany*
*Partyzancki krzyż i na krzyż ziemi*
*głęboko złożone karabiny*
*bezkrwawą zakwitają ofiarą.*
*Snieg prószy. Zasypał już etonie.*
*Zniknęło wojsko jak widzenie*
*Zaczyna się niedziela.*
*Fosforyzuje śnieżny mszał wśród jedliny*
*Zapisany wersetami czynów tych, co tu walczyli*
*— Et benedictivo vobis"...*

Na niewielkiej mapie Polski czerwonym ołówkiem wykreślił ktoś uważnie szlak podróży, którą odbyć ma samochód Alberta wiozący Rokitę i jego ludzi. Obok wijącej się po mapie czerwonej kreski kilka krzyżyków zaznaczających punkty kontrolne. Na innej stronie zapiska: „Celem pełnego zabezpieczenia trasy podróży, wysłać na punkty kontrolne po trzech zaufanych pracowników UB i Informacji z zadaniem swobodnego przepuszczenia ciężarowego samochodu marki „Zis" prowadzonego przez majora WP. Za żadną cenę nie wolno dopuścić, aby samochód ten został przez kogokolwiek zatrzymany. Równocześnie jednak z „Zisem" pojedzie auto osobowe z ludźmi, którzy zainterweniują w wypadku, gdyby „Zis" majora C 25 został w drodze zatrzymany. Droga podróży musi być zabezpieczona, samochód „Zis" niekontrolowany. „A w określonym miejscu należy przygotować zasadzkę...

Albert przymknął okno i jeszcze raz zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Był już ubrany w mundur, gotów do wyjścia, ale wciąż ociągał się z opuszczeniem pokoju. Odczuwał senność i zmęczenie — a przecież wiedział, że w godzinach, które teraz nastąpią, wypadnie mu walczyć ze śmiercią. O życiu Alberta miały zadecydować sekundy, chwile uwagi i bystrości.

Kartkę od Rokity otrzymał o dziesiątej w nocy. Rokita i jego sztab akceptowali plan pułkownika Johnsona. O szóstej rano grupa trzydziestu najlepszych ludzi Rokity wraz z nim samym, oczekiwać miała na Alberta w leśniczówce Graby.

„Właśnie tam zabito Kurtmana" — przypomniał sobie Albert. Drażniła go zupełna cisza w willi majorowej, denerwował go własny strach i niepokój.

Zapalił papierosa i zbliżył się do okna. Wtedy właśnie usłyszał jakby odgłos kroków. Potem rozległo się pukanie do jego drzwi.

— Proszę — odwrócił się gwałtownie od okna. W tej jednej chwili zapomniał o niebezpieczeństwie. Pas z pistoletem leżał na łóżku w drugim końcu pokoju.

Weszła Anastazja. Na głowie miała białą chusteczkę, była w jasnym wiosennym płaszczu.

— Rokita przyjął plan Johnsona? — spytała ledwo kiwnąwszy głową na przywitanie.

— Tak. Nie rozumiem jednak... — zaczął Albert, ale mu przerwała.

— Kiedy przewiezie pan sztab Rokity?

Pomyślał: „Przyszła mnie zabić. Nigdy mi nie ufała. Teraz wie kim jestem". Spojrzał na jej ręce ukryte głęboko w kieszeniach płaszcza, pomyślał o broni pozostawionej na łóżku, popatrzył na jej twarz bledszą niż zwykle, podobną do odlewu gipsowego, do maski pośmiertnej. „Więc to tutaj? Tutaj ma się to dopełnić? — pomyślał ze zdziwieniem. — Jeszcze jeden, któremu się nie udało".

Rzekł:

— Sądziłem, że Rokita przede wszystkim panią poinformuje o swej decyzji.

— Pan przecenia moje znaczenie. A poza tym, kategorycznie odmówiłam wzięcia udziału w wyjeździe do „Żelaznego". W klasztorze jestem na razie bezpieczna. Myślę, że tutaj mogę się okazać bardziej przydatna niż w lesie.

— Więc po co pani przyszła? U mnie grozi pani największe niebezpieczeństwo. Lada chwila może tu ktoś przyjść z Urzędu Bezpieczeństwa i wezwać mnie do Jarugi.

— Kiedy wyjazd? — spytała jakby jego słowa nie docierały do jej świadomości.

— Jutro o szóstej rano wyjedziemy z leśniczówki Graby — powiedział.

I pomyślał: „Teraz do mnie strzeli, bo pojmie, że kłamię. Lecz jeśli przed tym powie: „kłamiesz", może zdołam jej wytłumaczyć, że miałem na myśli „dziś, szósta rano", bo przecież rozmawiamy o drugiej w nocy".

Powiedziała:

— Jeszcze dziś w południe postaram się zobaczyć z Rokitą. Ten wyjazd do szaleństwo — krzyknęła.

Albert wzruszył ramionami. Podszedł do stołu i w popielniczce rozgniótł papierosa. Potem odwrócił się plecami do Anastazji, postąpił do łóżka i cichutko pogwizdując przez zęby począł zapinać na sobie wojskowy pas z pistoletem. Jakby przez niedbalstwo kaburę zostawił otwartą.

— Dlaczego nic nie mówisz? — krzyknęła znowu.

— Co mam mówić? Chcesz usłyszeć: żałuję, że zadałem się ze szczeniakami? Na wasze żądanie byłem u pułkownika Johnsona, załatwiono dla was samochód ciężarowy i UB-owskie papiery, uprawniające do bezpiecznego przejazdu na Lubelszczyznę. Samochód i papiery zdobyli nasi ludzie z narażeniem własnego życia, a teraz wam się odwidziało. Dobrze. To może i lepiej. Szczególnie dla mnie, bo nie będę musiał was wieźć i nakładać głowy za głupców. Wiedz jednak, że na tym koniec. Zapomnij, że kiedyś istniał Albert i jakiś pułkownik Johnson. Zapomnij nawet wówczas, gdy Jaruga będzie ci zaglądał w piękne ślepka.

— Mnie żywcem nie wezmą.

— Nic mnie to nie obchodzi. Ale nie głędźcie potem, że alianci wystawili was do wiatru, że nie pomogli waszej głupiej, śmiesznej, operetkowej armii.

— Zamknij się.

— Chciałaś, żebym coś powiedział.

Wyjęła ręce z kieszeni. Usiadła na łóżku i ładnym, kobiecym ruchem poprawiła włosy na głowie.

— Dobrze ci w mundurze — mruknęła.

— Taaak?

— Rozważ jak człowiek wojskowy: jaki sens ma dla nas przedostanie się na Lubelszczyznę? Tu jesteśmy silni, bo znamy każdą dziurę. Mamy swoje bazy, meliny, swoich ludzi. A tam?

— Tam te wszystkie kontakty posiada „Żelazny". Teren na Lubelszczyźnie dogodniejszy do walki. Połączywszy swoje siły, możecie jeszcze dużo zdziałać. Zresztą, o wyjeździe zadecyduje sztab Rokity. Tam są fachowcy od wojaczki. Ty zaś jesteś tylko, wybacz mi, odważną i ładną dziewczyną. Jeśli przyszłaś do mnie, żeby się ze mną pobawić w mężczyznę i kobietę...

— Nie przyszłam się z tobą bawić. Cuchniesz mi, rozumiesz? Od samego początku czuję od ciebie coś, co mnie drażni i niepokoi. Żałuję, że wówczas w pociągu nie kazałam cię zastrzelić.

Albert zaśmiał się cichutko.

— Słuchaj, mała — powiedział, powstrzymując śmiech, — jutro przyjedziemy po ciebie samochodem. Do klasztoru. Najpierw załaduję cały oddział, a później skręcę z drogi i zajadę po ciebie. Uczynię tak, bo mi się cholernie podobasz.

— Nie trudź się. Możesz zabrać Rokitę i jechać nawet do piekła. Ale chłopcy tu pozostaną — rzekła cicho, ale to co mówiła, było bardzo ważne. — Tych chłopców porwał do walki Perkun. Gdy nie ma Perkuna, ja za nich odpowiadam. I oni o tym wiedzą. Oni posłuchają mnie, a nie Rokity. A dla mnie ta cała zabawa wydaje się podejrzaną. Za łatwo to wszystko idzie. Za prosto.

Pomyślał:

„Powinienem ją zastrzelić tak, jak Krychniaka. Wiem, że tego nie potrafię zrobić. Mógłbym ją związać, ale zdaje się dość dobrze włada bronią i nie pozwoli sobie jej odebrać. A jeśli nawet ją tu związę jak w filmie, to zanim skoczę do Jarugi, ktoś ją tu może uwolnić. Przecież chyba nie przyszła tu sama?"

I pomyślał jeszcze:

„Za godzinę muszę stąd wyjechać do Rokity..."

— Odprowadzę cię — rzekł.

Podniosła się z łóżka. Obciągnęła na sobie sukienkę i płaszcz.

— A jednak potrafisz być dżentelmenem — powiedziała ironicznie.

Na dole w hallu było zupełnie ciemno. Szli po omacku, dotykając się łokciami, jak wówczas w podziemiach klasztoru.

„Może tu ją zastrzelić"? — pomyślał.

Ulica była pusta. Tylko, gdy przechodził przez ogród przez krótką chwilę wydawało się Albertowi, że wśród krzaków dostrzegł zarys kilku postaci ludzkich.

— Gdzie są twoi chłopcy? — zagadnął.

— Pilnują mego roweru na starym Kirkucie. Wiesz gdzie to jest?

Spytał:

— Pojedziesz prosto do Rokity?

— Dlaczego pytasz?

— Chciałbym, żebyś mu powiedziała, aby zabrał ze sobą racje żywnościowe przynajmniej na trzy dni. Tak kazał „Żelazny".

Kiwnęła głową.

— Dobrze. Powiem mu. Ale to nie ma sensu, bo nikt z naszych tam nie pojedzie.

Przy białym płocie okalającym jakieś stare domostwo rzekła do niego:

— Dalej nie musisz mnie odprowadzać.

— Pójdę jeszcze kawałek — zawahał się.

Szli chwilę w zupełnym milczeniem. Dlatego usłyszeli warkot samochodu, zanim jeszcze wyjechał on z bocznej uliczki. Samochód minął ich niezbyt szybko. Mały, pękaty „gazik" z postawioną budą.

Kiedy czerwone światełka wozu zginęły za zakrętem uliczki, Albert zwolnił kroku. Teraz nadeszła najsposobniejsza pora dla obezwładnienia Anastazji — pusta, mroczna ulica, z boku rozwalone parkany, pozostałość po gettcie.

— Proszę zaczekać — powiedziała. — Tu obok jest stary cmentarzyk. W krzakach mam ukryty rower.

Nie czekając na odpowiedź przelazła dziurą w parkanie i zniknęła w mroku. Wróciła uliczką, prowadziła „damkę".

— Najpierw muszę jechać do klasztoru. Trzeba zakopać broń — powiedziała. — W południe pojadę do leśniczówki Graby. Przekażę Rokicie rozkaz „Żelaznego". Ale wiedz, że ja będę go powstrzymywać przed wyjazdem. Jestem lojalna wobec ciebie i mówię ci wprost.

— Zrobisz jak zechcesz — odrzekł Albert.

— Przyjedziesz do leśniczówki? — spytała.

— Tak.

— Zobaczysz jak tam pięknie. Gęsty las i raptem otwiera się przed tobą prześliczna polana, a na polanie podobny do dworku domek — leśniczówka. Jesteś cham i takie rzeczy na pewno na ciebie nie działają. Ale ja ci mówię, że jeśli jest takie miejsce, gdzie możesz coś u mnie wskórać, to właśnie tam. Tylko, że przed tym będziesz mi musiał powiedzieć swoje prawdziwe imię.

— Dobrze — skinął głową. Wiedział, że nie zobaczą się w leśniczówce. Wiedział także, że nie zobaczą się nigdy więcej. Ale tylko on rozumiał dlaczego właśnie tak się stanie.

d. c. n.

# ODGŁOSY tygodnia

## Święta przez telefon

# W międzymiastowej

Normalna dzienna porcja rozmów międzymiastowych wynosi w Łodzi około 4 i pół tysiąca. Tymczasem już 13 grudnia odbyto ich ponad 6.200, a liczba z każdym dniem wzrasta.

Wbrew pozorom, nie ma to jednak bezpośredniego związku z nadchodzącymi świętami, a raczej z zakończeniem roku gospodarczego. Niektóre instytucje drogą telefoniczną składają warszawskim centralom całoroczne sprawozdania, rozmowy trwają często ponad pół godziny.

Jak wynika z doświadczenia telefonistek, ruch „służbowy" zamrze w zasadzie na 2 dni przed wigilią (co daje niejakie pojęcie na temat, kiedy rzeczywiście zaczynamy świętować), zaś liczba rozmów prywatnych wzmoże się dopiero w wieczór wigilijny. Normalnie międzymiastowych rozmów prywatnych bywa w Łodzi około 500 na dobę, w wigilię i „sylwestra" ich liczba dochodzi do 900. Z tym, że większość rozmówi wigilijnych przypada na godziny od 20 do 24, z czego wynika, że przede wszystkim siadamy do stołu, a dopiero mając pełny żołądek przypominamy sobie o złożeniu życzeń rodzinie i przyjaciołom.

Jeszcze ciekawszy przebieg ma wieczór sylwestrowy. Ożywiony ruch trwa do godziny 22, po czym następuje wyraźna godzinna przerwa (typu najpewniej trunkowego), tłok powraca tuż przed północą. Zamawiane po północy rozmowy w wielu wypadkach nie dochodzą do skutku, bo ich amatorzy często plączącym się językiem plączą żądane numery. Niektórzy przy tym winią oczywiście — kogo? — „panienki z międzymiastowej". Zdarzyło się, że kilku panów w noc sylwestrową naubliżało telefonistce, kiedy otrzymawszy zły numer, nie mogła ich połączyć. Rano, po wytrzeźwieniu przyszli z przeprosinami do centrali. Wypadek zaszedł przed trzema laty, od tego czasu podobnie rycerski postępek już się nie powtórzył.

Przed wigilią i przed „sylwestrem" bywa do 50 rozmów międzynarodowych. Często z tej okazji komunikują się ludzie, którzy kilkanaście lat nie widzieli się i nie słyszeli. Telefonistka, jeśli się włączy do takiej rozmowy, zwykle z obu stron przewodu słyszy wyłącznie... płacz. Cóż, wzruszenie, rozumiemy.

# W biurze zleceń

Biuro zleceń rusza „do boju" w zasadzie dopiero rankiem 2 stycznia, kiedy po upojnym „sylwestrze" i noworocznych poprawinach ludzie każą się budzić wczesnym rankiem. Tego ranka liczba zamówień na budzenie dochodzi do tysiąca, jest trzykrotnie większa, niż normalnie. Na jeden termin przypada do obudzenia od 600 do 100 osób. Jak telefonistki dają sobie z tym radę, pozostanie ich tajemnicą.

Jeśli już jesteśmy w biurze zleceń, to przy okazji możemy ofiarować czytelnikom „świąteczny przekładaniec" ciekawszych stamtąd historii. Na przykład:

● O pewnym panu, któremu „bywsza" żona zamówiła do przekazania w określonym dniu miesiąca następujący tekst: „Upłynął termin zapłacania alimentów, sprawa może być skierowana do sądu". Ów pan, usłyszawszy miły uchu tekścik przybiegł z awanturą ażeby nie być gołosłownym okazał się kwitem wpłacenia pieniędzy na konto małżonki. Oczywiście, musiał zapłacić także rachunek za wykonanie zlecenia.

● O pewnym młodzieńcu, który życzył sobie przekazania pewnej dziewczynie zapewnień, że ją kocha.

● O pewnym do tego stopnia zakochanym, że kazał sobie w oznaczonym dniu przypomnieć, iż właśnie na ten dzień ma wyznaczony ślub cywilny.

Wszystkie te „nie z tej ziemi" zdarzenia są najzupełniej autentyczne, zapisane w książkach zleceń a ku uciesze czytelników w numerze świątecznym „Odgłosów tygodnia" do wiadomości im podane.

* * *

**Informacjami dzieliły się z nami miłe panie z centrali międzymiastowej — Aniela Kozel, Pelagia Kulczycka i Marta Różycka. Im i ich 190 koleżankom z „międzymiastowej" składamy najlepsze życzenia świąteczne i noworoczne, a przy tej okazji prosimy w ich imieniu: w okresie świątecznego natłoku rozmów bądźcie cierpliwi i wyrozumiali.**

## Radosna reklama

Talent reklamowy naszych handlowców święci prawdziwe triumfy w handlu kosmetykami. Na solach do kąpieli pisało np.: UŻYWANIE SOLI ZAPEWNI CI ZDROWIE, RADOŚĆ ŻYCIA I SEKSAPIL. Prasowany puder posiada nadruk: ZA POMOCĄ TEGO PUDRU KAŻDA PANI MOŻE SIĘ SZYBKO UPIĘKSZYĆ. Lakier do rzęs „La Mira" jest niezbędnym kosmetykiem KAŻDEJ NOWOCZESNEJ PANI, ponadto jest NIEODZOWNY W DOMU, NA SCENIE, PRZY TAŃCU, W SPORCIE. PODKREŚLA UROK SPOJRZENIA.

Z prospektów, reklam i nadruków wynika, że nigdzie w świecie NOWOCZESNA PANI nie znajdzie lepszych kremów, kredek, szminek, lakierów, emalii. Nie nigdy nie zapewni jej większej porcji SEKSAPILU jak Polski Przemysł Kosmetyczny. Każdy z tych produktów jest ELEGANCKIEJ KOBIECIE niezbędnie potrzebny.

O tym, że kredki mamy kiepskie, emalia trzyma się jeden dzień, a lakierów nie sposób dostać — historia milczy...

Zresztą talenty reklamowe objawiają się i w telewizji. Ostatnio reklamowano zegarki marki „Jubiler", stwierdzając autorytatywnie: KAŻDA ELEGANCKA PANI MUSI POSIADAĆ DWA ZEGARKI, JEDEN Z NICH — NA SZCZEGÓLNE OKAZJE.

Nie martwcie się, łódzkie włókniarki! Bywają w świecie eleganckie panie, które posiadają tylko jeden zegarek!

## Taka sobie „socjologia"

Przed wojną było w Łodzi blisko 30 biur pisania podań, obecnie mamy tylko 8. Zatem o wiele mniej podań, co wskazywałoby na znacznie lepsze funkcjonowanie aparatu władzy.

Weźmy jednak pod uwagę, że obecnie organizacje społeczne, związki zawodowe, redakcje pism i kto jeszcze może, prowadzi bezpłatną pomoc prawną, polegającą w istocie właśnie na pisaniu podań. W ten sposób obraz się ślicznie zaciemnia i wniosek w sprawie „funkcjonowania" przestaje być oczywisty.

Ludzie wszakże nie zawsze mają zaufanie do „darmochy" i na tej zasadzie prywatne biura jeszcze prosperują, a przewija się przez nie około 2 tysięcy ludzi w ciągu miesiąca.

Właściciel jednego z biur, p. mgr Grigajtis, na naszą prośbę przeprowadził ilościową klasyfikację spraw, które przechodzą przez jego biuro: 1. sprawy mieszkaniowe, 2. odwołania od wyroków kolegium orzekającego, 3. sprawy wynikłe na tle wspólnego użytkowania kuchni i „wygód", 4. zatargi w miejscu pracy, 5. odwołania od wymiarów podatkowych.

Podania do władz, objęte powyższą klasyfikacją, stanowią połowę, druga połowa wiąże się z sądami.

Dawniej właściciel biura był wykonawcą woli klienta, obecnie musi być również „pedagogiem". Większość bowiem klientów zna tylko dwa adresy: Rada Ministrów i Władysław Gomułka — mówi p. Grigajtis — trzeba im dopiero tłumaczyć, że wystarczy np. podanie do Prezydium DRN.

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

*Fot. A. Kobyliński*

# MAŁE MIESZKANKO

„Małe mieszkanko" już nie tylko na Marienszatcie, ale wszędzie, gdziekolwiek się buduje, staje się na powrót hasłem obiegowym. Tym razem nie dzięki szlagierowi, lecz dzięki podniesionej do rangi nakazu państwowego, zdrowej zasadzie, że tak krawiec kraje jak mu materiału (dla wszystkich!) staje.

Czy „małe mieszkanko" musi oznaczać „psią budę"? „Odgłosy tygodnia" odbyły ostatnio rozmowę na ten temat z dyrektorem „Miastoprojektu", mgr inż. arch. K. Teslawskim. W „Miastoprojekcie", gdzie cały zapas dotychczasowych projektów trzeba było odłożyć do lamusa, panuje przekonanie, że obowiązująca obecnie na lata 1961—65 dolna granica normatywów daje architektowi wcale piękne pole do popisu w zakresie racjonalnego rozwiązania urządzeń nowo projektowanych mieszkań. Bo rola architekta bynajmniej nie kończy się na zaprojektowaniu takiego, a takiego układu i proporcji pokoju i węzła sanitarno-kuchennego, lecz polega również na pomyśleniu, jak powierzchnia mieszkalna powinna być urządzona. Chodzi o to, żeby nie dopuszczać do zagracania „małego mieszkanka" przez użytkownika, lecz żeby zaproponować mu **po pierwsze:** projekt rozmieszczenia różnych półek i składanych tapczanów, zastąpienia kredensów różnymi szafkami segmentowymi i **po drugie:** zagwarantować mu nabycie wszystkich elementów takiego meblościankowego urządzenia wnętrza.

W „Miastoprojekcie" rozumuje się nader słusznie: jak ktoś wzbogaca się o lodówkę, pralkę czy odkurzacz — to otrzymuje do tego instrukcję obsługi. Czy tego rodzaju instrukcja obsługi — urządzenia nie powinna być stosowana, jak ktoś wzbogaca się o mieszkanie? I dalej: obecnie płaci się za wannę i piecyk gazowy. Czy ludzie nie reflektowaliby i nie łożyliby na dostarczone im a wykonane w myśl wspomnianej instrukcji gotowe, estetyczne, idealne pasujące do ich mieszkań meblościanki? Rzecz w tym, żeby przemysł je dostarczył. A przemysł zdaje się przychodzi już po rozum do głowy, skoro zwrócił się do szeregu architektów z propozycją opracowania wzorów owych meblościanek. Od projektów i wzorów do seryjnej produkcji długa droga, ale miejmy nadzieję, że kiedyś i tę drogę przebędziemy. Zaczynamy nowocześnie — przemysłowo produkować mieszkania, dlaczegóż nie mielibyśmy nowocześnie — przemysłowo produkować ich wnętrz. Warto na ten temat zasięgnąć w narodzie języka. Dzisiaj ustala się, kto gdzie i kiedy będzie mieszkał. Imiennie wiadomo, kogo zapytać, jak by chciał tam mieszkać, i jest kogo namawiać, aby na takie a takie urządzenie swojego „małego mieszkanka" odkładał.

## „JUBILER" W KŁOPOTACH

Licząc się ze zwyczajami rodaków, sklepy „Jubilera" przygotowały na okres przedświąteczny sporą ilość obrączek. Tymczasem zapotrzebowanie na ten artykuł jest o połowę mniejsze niż przed świątami w ubiegłym roku. Co się dzieje? Nie ma chętnych do małżeństwa?

W ogóle ruch przedświąteczny jest tego roku w „Jubilerze" poniżej „normy". Chociaż przygotowano tam na prezenty wiele atrakcyjnych i tanich przedmiotów — cukiernice, platery, pudełka do kart, śliczne zegary do nowoczesnych wnętrz. Tajemnica tkwi w tym, że w okresie „paniki" we wrześniu obroty znacznie się podniosły i siłą rzeczy, w następnych miesiącach zmalały.

Nie jest zresztą tak najgorzej. Za samo złoto (głównie pierścionki w cenie około 1.5 tys. złotych) pięć łódzkich sklepów „Jubiler" ma obecnie utarg około 150 tysięcy złotych dziennie.

Natomiast wypłaty z tytułu skupu złota są aktualnie dziesięciokrotnie mniejsze. A jeszcze nie tak dawno, bo jakieś dwa lata temu, wartość skupu przekraczała wartość sprzedawanego złota.

Uogólniając, można by więc stwierdzić, że ze społeczeństwa na wyprzedaży staliśmy się szybko społeczeństwem na dorobku, skoro w prywatnych zasobach gromadzimy złoto, którego bądź co bądź nie można nazwać artykułem pierwszej potrzeby.

## NIE CHCEMY BUNTOWAĆ

**Tkaniny wykończone szlachetnie, prawdziwe cuda o apreturze niemnącej, wodoodpornej, oraz niekurczliwej, piękne tkaniny merceryzowane, filmodruki, misterne tkaniny o specjalnych barwach i fikuśnych splotach żakardowych, za którymi szaleją żony i od których uciekają mężowie — wszystko to możemy na pełny gaz produkować w Łodzi. Ale pod warunkiem, że modernizacja przemysłu pójdzie sprawniej niż dotąd.**

**A jak właściwie idzie? Donosimy czytelnikom „Odgłosów tygodnia", że w roku 1962 modernizacja powinna osiągnąć swój szczyt. Ciężko się jednak na ten szczyt drapiemy. Po dziesięciu miesiącach br. w wielu branżach nie wykonaliśmy planów inwestycyjnych, szeregu inwestycji nie wykonamy już w tym roku, czyli grozi nam mały kłops. Na dzień 1 września 1961 r. tylko około 50 proc. inwestycji przewidzianych w roku 1962 zostało należycie przygotowanych, reszta była jeszcze „w proszku".**

**W wielu wypadkach zakończono roboty budowlane, ale nie nadeszły maszyny i urządzenia z zagranicy. Kto nawala, kto nie dotrzymuje terminów? Często, choć nie zawsze — Centrala Handlu Zagranicznego „Metalexport". Bywają i takie fenomeny — maszyny są, czekają, a monterów jak nie widać, tak nie widać. W Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Łukasińskiego sprowadzona z zagranicy klejarka stoi od miesięcy bezczynnie, monterów nie można się doszukać.**

**Na cuda trzeba więc solidnie zapracować. Nie chcemy buntować mężów żon, sądzimy wszakże, że tysiące kobiet związanych z łódzkim włóknem bez trudu dostrzeże swój interes w modernizacji i zmobilizuje naszych planistów handlowców i monterów.**

# Drukowana prośba do Mikołaja

Wiesz co, staruszku? Mamy pomysł. Niezbyt oryginalny wprawdzie, ale wcale wcale...

Książki! Kup dzieciom, młodzieży, dorosłym i starym — książki. Niezależnie od wieku i profesji — zależnie od zainteresowań.

Na Piotrkowskiej tuż koło placu Wolności, Iskry, Nasza Księgarnia, Wiedza Powszechna i Dom Książki — od 30 listopada do 23 grudnia sprzedają książki.

Widzieliśmy tam nawet parę razy identycznego jak ty Mikołaja, który zachęcał przechodniów na Piotrkowskiej żeby zajrzeli na kiermasz. Ale to był pewnie jakiś przebrany za ciebie organizator tej imprezy. Ty byś nie zachęcał, tylko sam wszedł i kupował. A wchodzi się uroczo — po schodach, w takt muzyki. Napisy cię witają, okładki najpiękniejszych książek świata uwodzą od razu...

Kiermasz jest głównie dla dzieci i młodzieży. Więc — masa bajek...

„Czar, którego myśl nie schwyci
Urok dziwu snem się przędzie:
Coś, co nigdzie — a co wszędzie,
Coś, co nigdy — a co zawsze,
Najsmutniejsze, najłaskawsze
Znane, a nieodgadnione.
Posiadane, a stracone,
Coś z żałoby i pociechy,
Coś przez łzy i półuśmiechy..." *)

opowieści, książeczek i książek. Krzemińska i Zarembina, Leśmian i Brzechwa, Verne z Coorwoodem, Szara Wilczyca z Krasnoludkami, Mały Książę z Żelaznym Wilkiem...

Naprawdę urocze panie (nawet na ciebie podziałają — zobaczysz!), uprzedzają życzenia klientów, pokazują, zachwalają, pomagają wybrać.

Żeby dorośli się nie obrazili, dla nich też jest sporo książek, przeważnie ostatnie nowości z różnych dziedzin. Możesz kupić za jednym zamachem dla wszystkich — ojców, synów, córek, matek, ciotek, wujków i babć. Możesz też zagrać na loterii — coś wygrasz, zawsze taniej wyniesie...

Oni tu bardzo na ciebie liczą. Twoje portrety przybrane zielenią, wiszą na całym suficie. Choinka ubrana stoi, abyś mógł sprawdzić jak pasuje do niej i pod nią dany tytuł.

Weź tę naszą drukowaną prośbę pod uwagę i przynieś coś drukowanego!!!

*) Leopold Staff „Wieczornica"

WIMiP im. J.P. w Łodzi

# Wyjaśniamy, przepraszamy...

**W związku z notatką pt. „Interes i wpadka" („Odgłosy" nr 41) otrzymaliśmy od dyrektora Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych pismo, w którym między innymi czytamy:**

**„W wyżej wymienionym numerze ukazała się w rubryce „Z sądu" notatka „Interes i wpadka" na temat rzekomego interesu i wpadki kierownictwa n/przedsiębiorstwa z tytułu zawartych umów z pracownikami na wykonanie prac zleconych, a wchodzących w zakres obowiązków służbowych tych pracowników".**

**Sprawa powyższa nie miała miejsca w n/przedsiębiorstwie w związku z powyższym proszę o wyjaśnienie i wskazanie źródeł tej informacji."**

**Czyniąc zadość życzeniu naszego korespondenta podajemy, że autor notatki oparł się na artykule kpt. Henryka Matuszaka i por. Tadeusza Zawadzaka pt. „Niektóre przestępstwa związane z wykonywaniem robót, usług oraz wydatkowaniem funduszu płac w jednostkach państwowych" (Służba MO", kwartalnik, nr 2 (57) z kwietnia 1960 r.). Odpowiedni fragment na str. 273 brzmi:**

**„Łódzkie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych zawarło z własnymi pracownikami 18 umów na wykonanie prac zleconych wchodzących w zakres obowiązków tych pracowników. Umowy przewidywały między innymi przewijanie kabla ziemnego na własne bębny. Prace wykonywane były w normalnych godzinach pracy.**

**W związku z tym przedsiębiorstwo niesłusznie wypłaciło pracownikom sumę 108 tysięcy zł."**

**Powtarzając niemal dosłownie fakt opisany w cytowanym artykule, zresztą fakt starej daty, autor naszej notatki obciążył odpowiedzialnością zań obecne kierownictwo ŁPISIE sugerując, jakoby „wpadka" przyniosła „niektórym osobom" utratę wolności. W tym fragmencie notatka nasza była i niesłuszną i krzywdzącą, za co zainteresowanych najmocniej przepraszamy.**

Redaguje Zespół ★ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka ★ Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ★ Warunki prenumeraty miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ★ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ★ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ★ Zam. 3645. XI. L-4